ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 12 Grudzień 1930 r. ROK VII

Cena 1 zł. 40 gr.

ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 36 — 4. TELEFON 230-75

Rok VII | Warszawa, Grudzień 1930 r. | Nr. 12



„Zajączki" pod choinką

Photo-Plat

Uwagi przy stosowaniu meljoracyj leśnych

Nawiązując do artykułu autora, zamieszczonego w 8 n-rze, podajemy dalsze wiadomości na powyższy temat. (Przyp. Red.)

Zadaniem niniejszego artykułu jest postawienie pytania, w jakim kierunku należy prowadzić meljoracje leśne w dobie dzisiejszej, aby zwiększyć dochodowość leśnych gospodarstw?

Dotychczasowa akcja meljoracyjna w lasach państwowych, a także i prywatnych miała przeważnie na celu odwodnienie lasów.

Stosownie do danych, otrzymanych z działań meljoracyjnych lasów według A. D. Dubacha „Ekonomiczeskija rezultaty osuszytielnych rabot w bywszej Minskoj Gubernii", oprocentowanie włożonego kapitału po potrąceniu wszelkich kosztów, należy przyjąć — 15.8%. Przy obecnym kryzysie gospodarczym i wogóle oprocentowaniu kapitału, jako takowego do 24% normalnie rocznie należy uznać, że finansowanie leśnych meljoracyj nie kalkuluje się i meljoracje ściśle lasów, jeżeli mogą mieć zastosowanie to tylko w sporadycznych wypadkach, wyjątkowo np. w celu uratowania egzystującego nalotu kultur, usychającego lub zabagnionego drzewostanu, lecz wogóle ze względów rentowności nie powinny być nadal przy obecnym kryzysie gospodarczym forsownie kontynuowane, jako mało opłacające się, szczególnie, gdy dzisiejsze administracje lasów z trudnością mogą wykonać swój plan finansowo - gospodarczy ze względu na zmniejszony popyt na drewno i zniżkowe ceny sortymentów drzewnych.

Grunta nie produkujące drewna, nie dają żadnego dochodu, albo w najlepszym wypadku dochód tych gruntów ogranicza się do kilkunastu złotych z 1 ha., a bardzo rzadko kilkudziesięciu. Przyczyną zbyt niskiego dochodu od użytków ekonomicznych, przeważnie nawet mniejszego, niż z powierzchni produkującej drewno, co jest anomalją, tkwi w tem, że łąki i torfowiska są pozostawione w stanie pierwotnym. Są to przeważnie bagna i moczary, które z trudnością w porze letniej są dostępne, na których często nie zbiera się siana, a siano o roślinności bagiennej przedstawia bardzo małą wartość odżywczą dla bydła, raczej ściółkę stajenną, aniżeli karmę.

W związku z kryzysem w rolnictwie obecnie wysuwa się system gospodarstwa rolnego, opartego na uprawianiu roślin, których celem jest produkcja zwierzęca i przetworów zwierzęcych.

Jednostronny kierunek gospodarstwa ziarnowego zaczyna coraz bardziej tracić rację bytu, ustępując zwolna przed gospodarstwem hodowli inwentarza.

Hodowla bydła, do niedawna tak zaniedbana gałąź gospodarstwa, tolerowana ze względu na produkcję obornika, stała się obecnie nietylko poważnem źródłem dochodu, lecz i potężną dźwignią do podniesienia dobrobytu tak pojedyńczych gospodarstw jak i całego kraju. Dziś już zapomnieliśmy uważać bydło za maszynę do fabrykacji obornika, dziś przestaliśmy również zapatrywać się na łąki, jako na kultury produkujące surowy materjał na obornik; jakkolwiek powyżej wspomniany wzgląd na wzbogacenie roli — w siłę nawozową kosztem łąki bynajmniej nie utracił znaczenia, to jednak cofnął się na plan drugi, wobec doniosłego bezpośredniego znaczenia łąki, jako podstawy rozwoju hodowli bydła.

Opierając się na cennej pracy p. Wacława Ponikowskiego (Rolnik Ekonomista nr. 13 — 14 1929 r.) „Próba obliczenia wartości produkcji rolniczej w Polsce" wynika, że zbiór siana z 1 ha. łąk wynosi przeciętnie 60 kgr. co przedstawia wartość 4 zł. Ostatnia ta cyfra potwierdza ogrom nieużytków wogóle i półużytków w szczególności u nas przy niskiej jakości siana (6 zł. 25 gr.) za kwintal przeciętnie.

W dziedzinie meljoracji łąk i nieużytków starania administracji lasów bądź państwowych, bądź prywatnych winnyby zdążać w tym kierunku by przedewszystkiem ta ilość łąk, jaką posiadają poszczególne lasy wydawała jaknajwiększe ilości paszy i to w jaknajlepszej jakości, dalej, by wszelkie te przestrzenie, które dziś są nieużytkami mogły być zamienione na wydatne łąki, wreszcie, by cel ten był osiągnięty przy równoczesnem zużytkowaniu wód płynących.

Powyższe meljoracje mają to realne znaczenie, że wówczas kiedy ceny zboża spadły do 12 zł. za 1 cnt. m., ceny przetworów rolniczych mleka, mięsa, masła—wykazały nieznaczną zniżkę. Stąd wynika, że meljoracje łąk i nieużytków nie produkujących drewna mają realne, ściśle podstawy ekonomiczno-gospodarcze i administracje lasów — przystępując do takowych w pierwszych latach służyć będą wzorem okolicznym właścicielom zarówno większych, jak mniejszych, zabagnionych terenów.

Przystępując do meljoracji łąk na pierwszym planie pod względem rentowności należy postawić łąki mineralne — nawadnianie. Takie łąki dadzą się zrobić tam, gdzie jest dostateczna ilość wody. Łąki nawodnione wodą żyzną nie wymagają ani podsiewu, ani nawozów sztucznych, ani kosztownej uprawy mechanicznej. Jedyną co do nich troską jest utrzymanie czyli konserwacja urządzeń meljoracyjnych w dobrym stanie. Łąki tego rodzaju w naszych stosunkach klimatycznych są z reguły trzykośne, a zbiory suchego siana dochodzą do 100 cent. m. i wyżej z 1 ha.

Opłacalność zatem wg. obliczeń A. Kornella „Inżynierja Rolna" nr. 1 z 1930 r., dochodzi do 300 zł. w dobie kryzysu rolniczego.

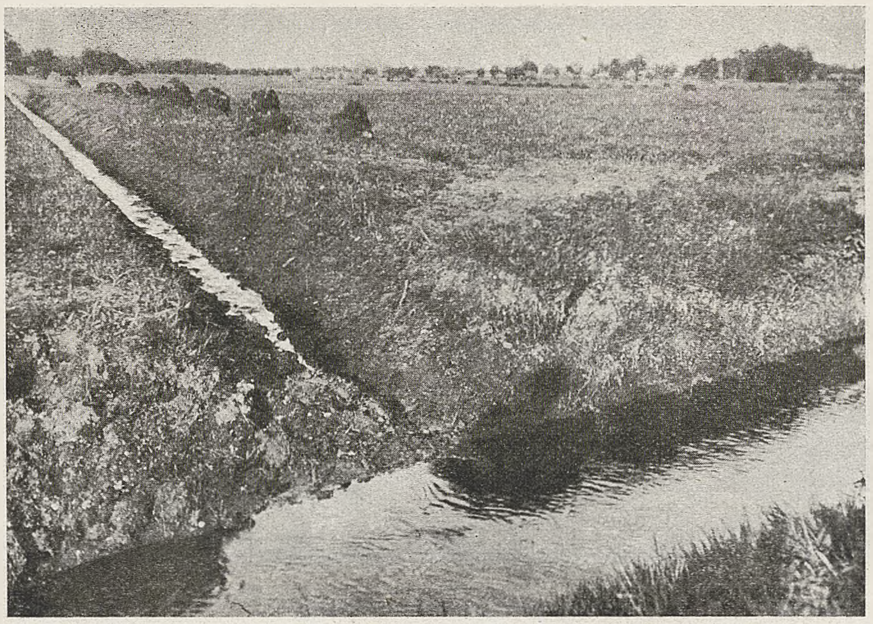
Drugi typ łąk, które w kolejności meljorować należy, to torfowiska o charakterze nizinnym, zatem bogate w związki azotowe i w wapno, mniej w związki potasowe i fosforowe. Na torfowiskach niskich pełnowartościowa roślinność pastewna daje się

Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA I NOWEGO ROKU SKŁADAMY SERDECZNE ŻYCZENIA WSZYSTKIM NASZYM WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM

REDAKCJA

osiągnąć tak zwaną uprawą ekstensywną. Polega ona na starannem bronowaniu, nawożeniu i podsiewie mieszanką traw. Zabiegi te poprzedzić musi gruntowne odwodnienie torfowiska oraz nawodnienie jego przy pomocy śluzek spiętrzających.

Na zasadzie łaskawie udzielonych mi danych przez inż. Zielenkiewicza, zebranych drogą ankiety np. z 37 państwowych N-ctw Radomskiej Dyrekcji, obszar nieprodukujący drewna, a nadający się do większej lub mniejszej meljoracji tych nieużytków (ługi, torfy i wody) wynosi — 3400 ha, co stanowi 1.4% obszaru ogólno leśnego, a przynoszący zaledwie około 17.000 zł. czyli 5 zł. z 1 ha. Tu należy nadmienić, że wg. danych Oppokowa „O nasażdeniach tipa Pinetum Sphagnotum", teren, który jest zabagniony głębiej ponad 1 mtr, lub też taki, w którym znajduje się orsztyn w zabagnionem podglebiu, nie nadaje się pod zalesienie ze względu na wielki nakład meljoracyjny, jak i na małą w przyszłości rentowność siedliska sosny „Pinetum Sphanotum". Powierzchnie leśne, czyli t. zw. ługi nieprodukujące drewna wskutek swej wielkiej wilgoci i jałowości gruntu dałyby się w zupełności zużytkować, jako stawy rybne. Spód takich leśnych ługów bywa najczęściej zupełnie jałowy, co utrudnia zamianę go na inny lepszy użytek. Często wszakże przez proste przekopanie rowu we właściwem miejscu da się z ługu wodę o tyle ściągnąć, że można go zużytkować, jako staw rybny. Chodzi tu tylko o to, ażeby

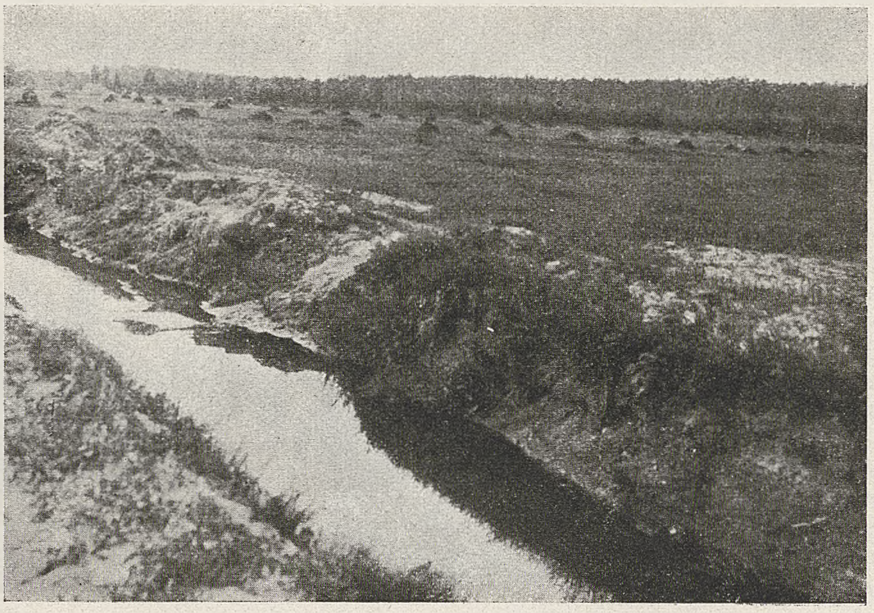


Fragment meljoracji łąk w uroczysku, Chronów (Nadleśnictwo Radom)

woda na jesieni spadła o tyle, aby umożliwiła wyłowienie ryb i aby odkryła dno na działanie wiatrów zimnych, przez co osiągniemy jego odkwaszenie.

Przy bardzo wydłużonych figurach ługów leśnych można poprzedzielać je krótkiemi grobelkami i mnichami, a otrzymamy całą kondygnację stawów pietrzących. Meljoracja taka byłaby nietylko mało kosztowna, lecz i zupełnie racjonalna.

Pni w tym wypadku nie należy nawet karczować, gdyż gnijąc dają żer i ochronę wielu owadom, stanowiącym zdobycz ryb.



Kanał odwadniający przy meljoracji łąk w Chronowie

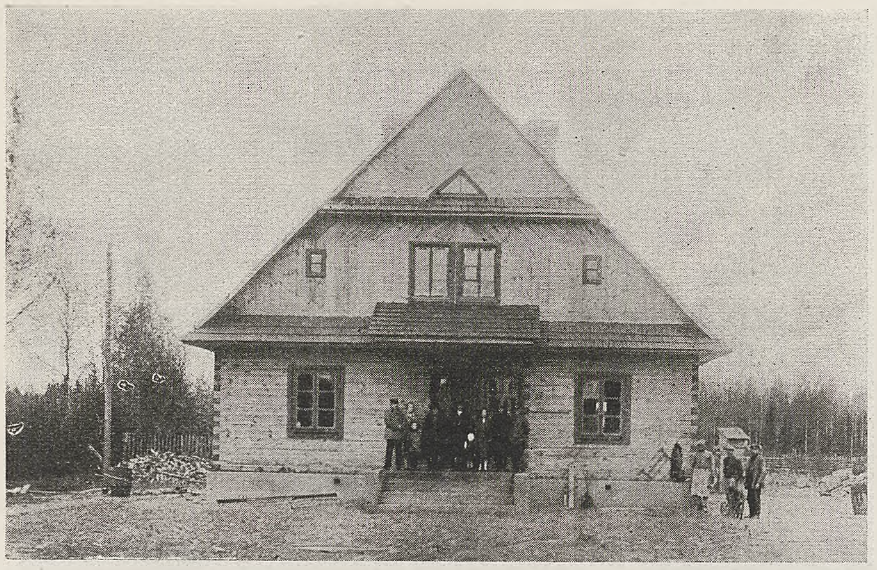
Meljoracja wspomniana będzie zarazem ulepszeniem tych nieużytków, które po kilkunastoletniem ich nawadnianiu zamienią się na urodzajne i żyzne tereny, ułatwiające w przyszłości ich zalesienie.

Ogólnie należy zaznaczyć, że odwadnianie dna stawu jest gwarancją dobrej wydajności ryb i zdrowotności, zaś dla osiągnięcia celu zawsze się sowicie opłaci. To też konieczna jest w każdym stawie gęsta sieć płytkich rowków, któreby odprowadzały całą ilość wody z dna stawu od 40 — 50 cm. głębokich.

Reasumując te wywody, wysuwa się konieczność utworzenia przy większych leśnych kompleksach kierownika fachowca - agronoma ze specjalnem wykształceniem w dziedzinie kultury łąk, torfu i hodowli ryb narazie dla terenów, nadających się do powyższej gospodarki.

Ponieważ specjalistów kultury błot w znaczeniu agronomicznem w Polsce posiadamy mało, jak również poza doświadczonymi w tych sprawach inżynierami, jak A. Kornell, inż. St. Zielenkiewicz, prof. dr. inż. Łopuszański, inż. St. Turczynowicz i inż. W. Trojnowski jest niewiele, zatem należałoby wykorzystać siły powyższe przy większych kompleksach leśnych, jako doradców technicznych, w dziale zaś agronomicznym przedewszystkiem miarodajne zdanie byłoby p. prof. Br. Janowskiego, inż. Br. Chamca, d-ra Różańskiego i innych.

Inż. Wiktor Ulatowski



Wygląd leśniczówki z frontu

W sprawie osiedli dla pracowników Administracji Lasów Państwowych

W związku z potrzebą budowy wielkiej ilości osiedli dla pracowników Administracji Lasów Państwowych środkami możliwie skromnemi ze względu na ogólną gospodarkę Państwową, opracowała Administracja Lasów Państwowych w bieżącym roku zasadnicze typy budynków mieszkalnych dla pp. nadleśniczych i leśniczych. Projekty te których reprodukcję podajemy — o skromnym a jednak estetycznym wyglądzie zewnętrznym oraz racjonalnym, wygodnym rozkładzie wewnętrznym, są znacznie tańsze od typów dawniej stosowanych w budownictwie lasów państwowych.

Już w roku bieżącym wykonano wedle nowych projektów kilka budynków na terenie Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie. Dzięki racjonalnemu zaprojektowaniu oraz wydatnej współpracy pp. inspektorów i nadleśniczych z organami wykonawczemi przy organizacji robót i dostarczaniu materjałów budowlanych, koszty wykonania tych budynków, budowanych stosownie do zarządzeń Ministerstwa, sposobem gospodarczym, wypadły stosunkowo tanio. I tak drewniany budynek mieszkalny dla leśniczego w Nadleśnictwie Baksztańskiem kosztuje łącznie z wydatkami administracyjnemi około 14.000 zł., podczas gdy budynek taki według dawnych projektów, kosztował około 26.000 zł., nie licząc robót instalacyjno kanalizacyjnych i tynkarskich.

Znowelizowany obecnie budynek mieszkalny dla leśniczego posiada pokoje: sypialny, dziecinny i jadalny oraz na pięterku pokój gościnny, ewentualnie dla praktykanta, pozatem duży jasny przedpokój, kuchnię z oddzielnem wejściem ze spiżarką, alkową dla służącej oraz łazienką.

W projektach Ministerstwa Rolnictwa uwzględniono możność rozbudowy leśniczówki na nadleśniczówkę, bez potrzeby większych przeróbek w istniejącym budynku, co wobec możliwości zmian w podziale administracyjnym, jest jedną z głównych zalet tego projektu normalnego. Rozbudowę takich leśniczówek minimalnemi kosztami na siedzibę nadleśniczego przedstawia obok zamieszczony rysunek.

W stosunku do dawnych leśniczówek, posiadających taką samą ilość pomieszczeń, leśniczowie, którzy otrzymają nowe sadyby, wybudowane według tych planów normalnych, zyskują znacznie na wygodzie oraz dodatkowy pokój na pięterku.

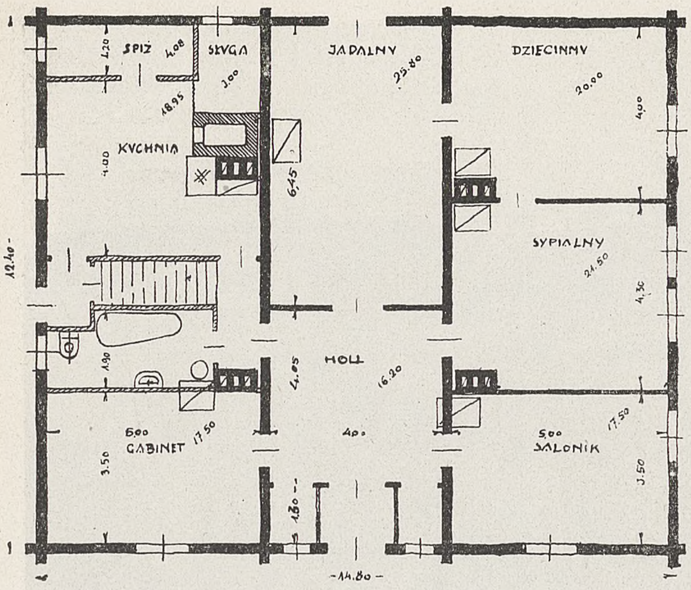
Osada nadleśniczego, wybudowana według tego typu w Nadleśnictwie Kruplańskiem, będzie kosztowała około 40.000 zł. zamiast 62.000 zł. — wydawanych dotychczas na budowę takiej osady przed wprowadzeniem nowych typów, opracowanych w Wydziale Budownictwa i Komunikacji Ministerstwa Rolnictwa.

Nadleśniczówka tego typu posiada duży hall, pokój jadalny, dwie sypialnie, gabinet i salonik oraz jeden, ewentualnie dwa pokoje gościnne na pięterku. Pozatem kuchnia z oddzielnem wejściem, spiżarka, alkowa dla służącej, piwnica pod kuchnią oraz łazienka z wc. Dotychczas budowane w okręgu Wileńskiej Dyrekcji Lasów Państwowych budynki mieszkalne dla nadleśniczych nie posiadały hollu i pokoi na piętrze.

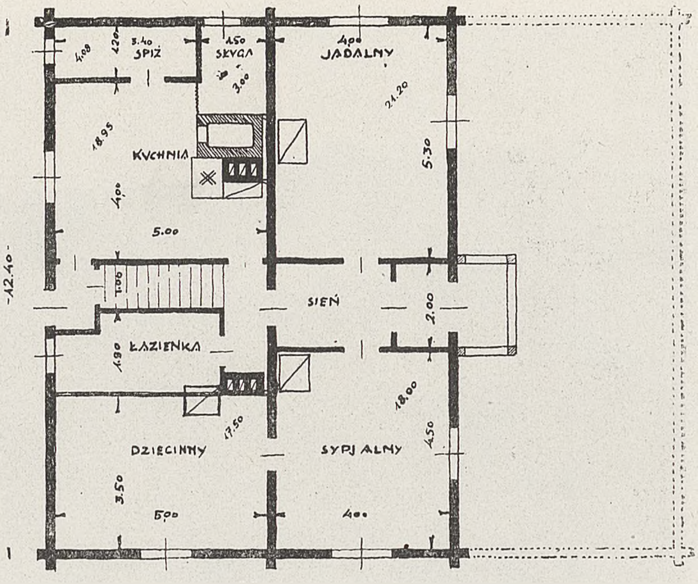
Poza wymienionemi uwagami, ważkiem bardzo i celowem jest silne dążenie Administracji Lasów Państwowych do znormalizowania ele-



Wygląd leśniczówki z boku



Projekt przebudowy leśniczówki na nadleśniczówkę



Projekt przebudowy gajowni podwójnej na leśniczówkę

mentów budowy, w pierwszym rzędzie stolarki, jak okna i drzwi. Normalizacja omawianych budowli administracyjnych i wytworzenie pewnych własnych typów, które będą mogły być wykonywane masowo w niektórych tartakach już w najbliższym czasie pozwoli na intensywny rozwój akcji budowlanej w lasach państwowych środkami o wiele skromniejszemi jak dotychczas a przez to bez nadmiernego obciążenia budżetu tej dziedziny służby państwowej.

Drewno jako pasza

Sprawa zużytkowania odpadków leśnych, jak można sądzić z głosów prasy, coraz więcej zaprząta umysły ludzkie. Świeżo frakcja posłów niemiecko-narodowych w Sejmie pruskim, zwraca w swej interpelacji uwagę rządu na fakt wynalezienia przez prof. doktora Bergiusa sposobu wytwarzania cukru z drzewa. Interpelanci zapytują się, czy rząd wyda odpowiednie zarządzenia, celem jaknajszerszego wykorzystania wynalazku dla dobra rolnictwa i ogólnej gospodarki kraju. Interpelacja ta zasługuje na uwagę dlatego, że przecież Niemcy już mają jedną fabrykę dla przeróbki drzewa na paszę w Szczecinie, obliczoną na 20.000 tonn rocznej produkcji.

Ostatnio sprawą tą zajęli się właściciele winnic francuskich, którzy chcieliby zużytkować w korzystny sposób łodygi winogron.

Profesorowi Uniwersytetu w Heidelbergu d-rowi Bergiusowi udało się udoskonalić już istniejące chemiczne procesy.

Jak wiadomo, oddawna już są znane sposoby wyciągania z drzewa alkoholu; żeby jednak ze skrobji (krochmal) otrzymać alkohol, potrzebne jest przejście jej przez fazę pośrednią, — którą jest cukier; a zatem w pewnej fazie przejściowej, drzewo było... „cukrem".

Główną częścią składową drzewa jest celuloza, ciało pokrewne krochmalowi, który podlega sacharyzowaniu od wielu lat przy procesie otrzymywania alkoholu. Traktując celulozę za pomocą kwasu na gorąco i pod ciśnieniem, można doprowadzić do rozbicia cząstki celulozy, a dodając po cząsteczce wody, — otrzymać cukier. Przy wyrobie alkoholu wydajność jest duża, gdyż otrzymuje się do 250 litrów alkoholu czystego z jednej tonny trocin. Proces ten jest kosztowny z tego powodu, że kwas solny używany tutaj, niszczy metal naczyń.

Niemcy ominęli trudności produkcji w ten sposób, że traktują drzewo pod ciśnieniem za pomocą bardzo słabego rozczynu kwasu solnego (1 do 1000), otrzymując 150 litrów alkoholu z tonny drewna. Prawdopodobnie Niemcy uważali za rzecz wygodniejszą ograniczyć przemianę drzewa do stopnia cukru, nie poddając go fermentacji i wytworzyć w ten sposób paszę pożywną dla bydła. Ponieważ produkt ten jest w smaku bardzo mało słodki, należy wnosić, że znajduje się on na granicy między cukrem, a krochmalem, mało różniących się między sobą chemicznie, wedle wzorów: $(C_6 H_{10} O_5)_n$ — — krochmal + $(H_2 O)_n$ — woda = = $(C_6 H_{12} O_6)_n$ — cukier zwykły, gdzie różnica polega na cząstce wody.

Otóż, chcąc przekonać się jak łatwo pierwsze ciało przechodzi w drugie, dostatecznem jest potrzymać kawałek ośrodka z chleba w ustach, — po krótkim czasie uczuwa się słodki smak. Pod działaniem bowiem fermentów śliny, krochmal zbożowy został s h y d r o l i z o w a n y, t. j. wzbogacony o jedną cząsteczkę wody i zamieniony na cukier rozpuszczalny. Niema zatem w tem nic nadzwyczajnego, z punktu widzenia czysto naukowego, że tą drogą otrzymać można produkt pożywny z drzewa.

Zasługą d-ra Bergiusa jest to, iż potrafił procesy chemiczne uprościć i skoordynować w sposób, który przeróbkę masy drzewnej na paszę robi rentowną.

Dotychczas Niemcy trzymają szczegóły wytwarzania w sekrecie. Nie należy jednak wątpić, że Francuzi, którzy chemję stworzyli i dokonali w niej tyle wynalazków, — o ile zajmą się tą sprawą, a prą ich do tego właściciele winnic, — niedługo ogłoszą światu istotę sprawy.

Życzyćby tylko wypadało, żeby i nasz Instytut Chemiczny w Warszawie, który powstał na skutek inicjatywy p. Prezydenta Rzeczypospolitej prof. D-ra Inż. Mościckiego, znanego chlubnie z wielu wynalazków w dziedzinie chemji, zajął się tą tak ważną dla naszego kraju sprawą.

Inż. Jan Fryczkowski



Charakterystyczne występowanie nagich skał wapiennych, pozbawionych z biegiem lat wszelkiej warstwy urodzajnej — na „Skałach Twardowskiego" pod Krakowem. W oddali kopiec Kościuszki na wzgórzu św. Bronisławy

Zalesienia ochronne wzgórz wapiennych na terenie Krakowa

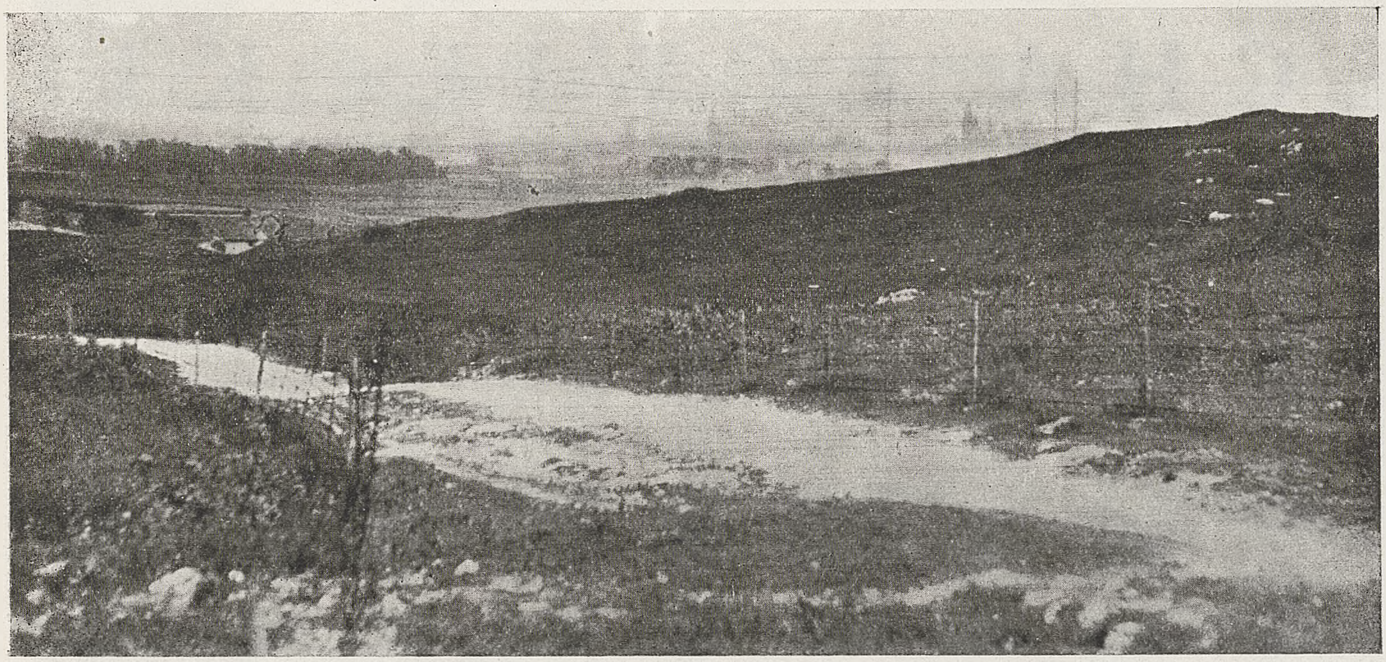
Akcja zalesień nieużytków rozwija się w ostatnich latach w całem państwie nader korzystnie. Dowodem tego jest stałe zmniejszanie się powierzchni nieproduktywnych, których miejsce zajmują dziś ładne kultury przeważnie sosnowe. Ogromne zwłaszcza znaczenie posiada zalesienie nieużytków, znajdujących się w pobliżu miast i w większych ośrodkach przemysłowych. Wiadodomą bowiem jest ogólnie sprawą, jak wielce korzystny wpływ wywierają kompleksy leśne na zdrowotność miasta, tworząc wielkie zbiorniki powietrza tak potrzebnego dla większych ośrodków.

Akcję zalesień ochronnych prócz władz państwowych rozwinęły również i związki komunalne, a między innemi i gmina Miasta Krakowa — dzięki inicjatywie i energji obecnego zarządu miasta. Z chwilą włączenia w obręb miasta szeregu miejscowości podmiejskich, posiada gmina większe kompleksy nieużytków wzgórz wapiennych, leżących odłogiem na powierzchni około 100 ha pod nazwą „Krzemionki". Już w latach przedwojennych powstała myśl zalesienia tych nieużytków, jednak z powodu różnych przeszkód została zaniechaną. Dopiero w r. 1928 podjęło Prezydjum miasta Krakowa starania i dzięki subwencji Min. Rol. rozpoczęło pierwsze zalesienia tych wzgórz nieużytków na Krzemionkach, bezpośrednio przy parku im. Bednarskiego, w dzielnicy „Podgórze". Kierownictwo nad temi zalesieniami, bardzo żmudnemi i kosztownemi, powierzone zostało Zarządowi Parku miejskiego Las Wolski, z ramienia którego inż. Win. Wobr., em. starszy radca leśn. w tym dziale rutynowany, dzięki swej energji i doświadczeniu, prace około sztucznych zalesień tych nieużytków rok rocznie pomyślnie wykonuje tak, że dotąd zalesiono:

W roku 1926 na Krzemionkach obszar 3 ha; w 1927 r. na Skałach Twardowskiego 6 ha, w 1928 r. 6 ha, w 1929 r. 3 ha; w 1929 r. na Bonarce 4 ha, w 1930 r. 5 ha. Ogółem więc wykonano nowego zalesienia dotąd na 27 ha.

Nieużytki te—są to wzgórza jurajskie wapienne, stanowiące miejscami tylko liche pastwiska, narażone na stałe spłukiwanie ziemi przez wodę opadową, następstwem czego z biegiem lat odsłonięte zostały skały i powstały liczne urwiska i jary.

Tereny te, które słusznie zalicza inż. Edw. Chodzicki w swoim artykule (Las Polski nr. 6 z r. 1930) o nieużytkach skalnych Dalmacyj — do polskich utworów krasowych (Karst), wymagają zupełnie innego traktowania pod względem zalesienia, aniżeli łatwe w porównaniu z nimi do zalesienia piaski lotne na niżu (wydmy). Jak dalej inż. Chodzicki trafnie podnosi, na tego rodzaju nieużytkach bogactwo chemiczne gleby jest wszędzie w dostatecznej mierze zapewnione. O wartości hodowlanej gleb będzie stanowiła nietyle żyzność, ile jej głębokość i struktura kamienista. Jedynie w szczelinach skał lub w dolinkach spotykamy glebę głęboką. Takie partje głębsze pokryte były pierwotnie lasami dębowo - bukowemi z domieszką jesionów i modrzewia. Dlatego też przy trwałem zalesieniu pustkowi wapiennych dąży się do osiągnięcia tego panującego typu lasu. Nie da się to odrazu osiągnąć, gdyż przeważnie trzeba stwarzać drzewostan przejściowy, który musi najpierw poprawić własności gleby. Do tego nadaje się na skałach wapiennych wiele gatunków, a nie jak na piaskach jedynie sosna, co bardzo tam upraszcza czynności związane z sadzeniem. Tutaj duże usługi oddają gatunki wiążące azot w glebie, który tu jest bardzo potrzebny z braku próchnicy. Gatunki te przejściowe — to zwłaszcza akacja lub większy opad ściółki dająca olsza szara, pod któremi sadzi się jawór, klon, dąb, jesion. Ponieważ



Nieużytki wzgórz wapiennych na „Skałach Twardowskiego”, zalesione sosną czarną, a wzdłuż ogrodzenia przy drodze polnej, brzozą. W dali roztacza się malowniczy widok Krakowa

są i miejsca zupełnie płytkie, na których sadzenie liściastych drzew jest niemożliwe, przeto na miejsca te wprowadza się sosnę czarną, która w podobnych warunkach w innych krajach oddaje olbrzymie usługi. Możnaby tu wprowadzać i świerk, lecz nie w tutejszych warunkach, gdzie cierpi on od ciepłego i suchego klimatu oraz od dymów wielkomiejskich. Sosna pospolita na wapieniu daje bardzo kruche i rzadkie drewno i dlatego używa się jej jedynie na osłonę dla innych drzew, bądź na gniazda, na których zalegają piaski. Na urwistych i cienistych skałach sadzi się dla upiększenia, w szpary, po doniesieniu ziemi, sosnę kosówkę.

Zalesienie skalnych pustkowi wapiennych przedstawia specjalne trudności przez płytkość gleby, niebywałe nagrzewanie się od słońca i suszę, które są trzema największemi niebezpieczeństwami. Ochrona i pielęgnacja tych zalesień jest nader trudna, bo stałe klęski elementarne i pożary traw, wzniecane lekkomyślnie przez młodzież, powodują wielkie szkody.

Zalesienie nieużytków ma na celu stworzenie nowych parków dzielnicowych dla miasta Krakowa, które z wyjątkiem parku leśnego na Woli Justowskiej, w najbliższem sąsiedztwie pozbawione jest zupełnie wszelkich leśnych obszarów.

Ze względu na charakter górzysty tych terenów i przepiękne widoki na Kraków i okolicę, przyszłe te parki dzielnicowe stanowić będą wielką chlubę miasta Krakowa.

Dla wychodowania własnych sadzonek, założono 4 rozsadniki w różnych miejscach o ogólnej powierzchni 30 arów, w których z nasienia choduje się sadzonki, dostosowane do istniejących warunków miejscowych. Ze względu na przyszły charakter parkowy, wprowadza się do zalesień różne gatunki drzew szpilkowych i liściastych zagranicznych, dostosowując się do siedliska a to: sosnę weymutkę, daglezję, bożodrzew, dąb czerwony, czeremchę amerykańską i inne. Dla względów ochronnych, głównie przeciwpożarowych, wprowadza się nadto brzozę nieregularnemi pasami, o szerokości 20 mtr., a w przyszłości pod jej ochroną podsadzać się będzie buka, graba, daglezję i inne cenniejsze gatunki zagraniczne. Więźbę stosuje się 0.75/0.75 cm., a miejscami na glebie lichej i stokach południowych, gdzie większy procent sadzonek może uschnąć, również i więźbę 0.50/0.50 m.

Dla ochrony terenów zalesionych przed szkodami przez okoliczną ludność wyrządzanemi, przestrzenie zalesione są ogrodzone drutem kolczastym, na oterowanych słupach sosnowych, co naturalnie znacznie podnosi koszta.

Klęski elementarne, jak ostra zima roku 1928, 1929 i posucha w lecie 1930, wyrządziły również poważne szkody w zalesieniach i to zarówno w kulturach, jak i w szkółkach. Nie ucierpiały z tych powodów prawie nic jedynie uprawy dębu. Z powodu braku wody na całych tych obszarach, potrzebnej do podlewania szkółek, ucierpiały tegoroczne siewki w szkółkach. Praca ta, choć bardzo żmudna, postępuje naprzód i jest jedyną tego rodzaju przy zalesieniach wapiennych nieużytków w Polsce. Spodziewać się należy, że w najbliższych już latach znikną nieużytki, stanowiące własność miasta, a miejsca ich zajmą piękne młodniki i zagajniki, upiększające parki dzielnicowe, tak konieczne dla dobra i zdrowia mieszkańców miasta.

Przy tej sposobności nie mogę pominąć milczeniem, że przykład zalesienia dany przez miasto zainteresował również właścicieli prywatnych. Tak np. w sąsiedztwie Skał Twardowskiego, jeden z obywateli, włożył już, korzystając z subwencji rządowej na sadzonki i ogrodzenia, dużo swej pracy i zalesił również trzy ha swych nieużytków. Oby takich przykładów zrozumienia własnych interesów było jak najwięcej, a znikną bezproduktywne pustkowia, szpecące krajobraz okolicy Krakowa na prawym brzegu Wisły, jak Kostrze, Pychowice, Bodzów, aż po Tyniec.

Inż. Witold Friedberg

ŻÓŁW BŁOTNY

Mieszkał w miejscu odludnem, na niewielkiem bajorze, pod lasem rozległym. Wokół ciągnęły się łąki wilgotne, porosłe mchem, trawą kępiastą, złotym kaczeńcem, modrym niezabudki kwieciem. Snać, z przekonania i upodobań wewnętrznych obrał bezludne to miejsce. Ukochał bowiem noc zaciszną, i żywot pędził samotny. A jeśli światu ukazywał się we dnie, to jedynie po to, by na wzniesieniu trawiastem rozkoszować się ciepłem promieni słonecznych. Od wody się nie oddalał, wiadomo — z obawy przed ludźmi.

Zdawał sobie sprawę dokładnie, iż ucieczka jego od światła dziennego i ludzi nie wypływała z urojonych uprzedzeń, jak to często w stosunkach ludzkich się zdarza, lecz z niesłusznej odrazy człowieka do jego wyglądu. A choć nigdy nikomu żadnej krzywdy, ni szkody nie zrządził, niemniej wiedział, iż — przez dziwaczne pojęć skojarzenie, postawionym jest przez człowieka na jednym szczeblu ze żmiją. Osłodą poczucia tej wielkiej niesprawiedliwości była świadomość, iż los podobny narówni z nim dzieli wąż bezbronny, dalej padalec, gniewosz, ba, nawet czasami jaszczurka, a niekiedy wyświadczający niepospolite usługi ludzkiemu niewdzięcznemu rodowi — nietoperz.

I za co nienawidzili go ludzie? — Za jego powierzchowność oryginalną, a może po części za podobieństwo z głowy do żmiji. Ongiś — przed wiekami — cieszył się wielkiem uznaniem; przypisywano mu siłę nielada: przodkowie jego, ponoć, na opancerzonych swych barkach dźwigali świat. Jakoś widocznie od początku istnienia człowieka nie zdołał pozyskać w oczach ludzkich należytego zrozumienia dla swych właściwości i zalet, skoro przypisywano mu stale właśnie to, czego nie posiadał i czem się nie trudnił; ani świata nie dźwigał, ani ludziom nie szkodził. Nieporozumienia tego człowiekowi za złe nie brał, bo i jakże mógł żądać, by ci, którzy wzajem siebie tak często zrozumieć i poznać nie mogą, czy nie chcą, starali się poznać właściwości błotnego żółwia.

Usunął się wtedy w odludzie, w mrok nocy. I tylko wyraz swego podziwu dla ludzkiej przenikliwości niekiedy lekkim pogwizdem ogłaszał.

Żył już oddawna w błocie rodzinnem. W czasie swego istnienia niegdyś zetknął się z ludźmi. Poraz pierwszy w swem życiu — tak, w wiosny porę. O mglistym świcie wracał właśnie do wody, gdy raptowne drągiem uderzenie poczuł na grzbiecie. Ukrył czemprędzej kończyny i głowę pod osłonę niezawodnej skorupy i zamarł w bezruchu. Razy poczęły się sypać, jak z obfitości worka — coraz częściej i coraz zajadlej. Trzęsło nim, jak febra człowiekiem, w uszach dudniło. Sytuacja stawała się kłopotliwą i mocno niewyraźną. Nie mógł pozatem odgadnąć powodu nagłej napaści. Tymczasem uderzenia trwały czas jakiś, a choć stały się rzadsze, zato krzepniały na mocy; później osłabły, aż wreszcie ustały. Wówczas to otrzymał od wiejskiego litewskiego pastuszka — prócz życiowej nauki — nową nazwę miejscową „żelaznej żaby" (gielażynie warłe). Zżył się z mylnem wyobrażeniem człowieka o swojej mizernej istocie, tedy nie zdziwił się nawet, iż tu go do płazów wliczono — z metaliczną coprawda domieszką. Z dziada-pradziada należał do zacnej gadów rodziny, naogół szlachetnej i w zupełności dla kraju naszego porządnej; cień jedyny, jedyną plamę stanowiło bliskie pokrewieństwo ze żmiją. Toż i w tem nie zawinił; wszakże w rodzie herbowym — nie wiedzieć skąd — szubienicznik się trafi, a ród mimo to przystojnej mu rewerencji i splendoru nie traci.

Szły lata. Gdyby zamiast skorupy nosił bujną czuprynę, nić srebrna siwizny przebijaćby już poczęła we włosach. Lecz mimo wieku, mimo pamięci pierwszego niefortunnego z człowiekiem spotkania, żółw, po dawnemu gwizdał po nocach. I ślepy los go pokarał.

Bo oto — pewnego wieczora, gdy wiosenne wody rozlały, a żaby głośnym rechotem gody życia wieściły, żółw płynął w wodzie bezpiecznie. Nagle rybacka sieć nim targnęła, podrzuciła gwałtownie i cisnęła o ziemię. Pochwyciły go dłonie ludzkie tym razem — o dziwo — bez obawy i wstrętu. A chociaż obyło się bez kołatania w skorupę, los mu zgotował niespodziankę dotkliwą. W ciasnym koszyku powędrował — hen — od rodzinnego błota daleko — wozem trzęsącym, koleją — do miasta. Sercem owładnęło niedobre przeczucie; wiedział, iż koniec dla niego się zbliża. I rzecz dziwna, — nie czuł obawy, ni grozy; obojętnem mu było, jak i kiedy nastąpi jego życia doczesnego epilog.

A gdy się ocknął — zdziwił się wielce. Leżał nad brzegiem niewielkiej sadzawki, na zdeptanym trawniku. Dokoła rozciągała się siatka druciana. A dalej również za siatką widniały puhacze, orły; smutnym otępiałym wzrokiem spoglądały ku niemu z oddali z poza kraty niedźwiedź, wilk bury... Czarną łzawą źrenicą patrzała sarna... Jak błyskawica oślepiła go myśl: resztę żywota dokona w zoologicznym ogrodzie.

Zakotłowało w mózgu, coś załamało się w piersi... W pamięci żywo zamajaczyły łąki rozlewne, błoto rodzinne, nocnym oparem pachnące— swoboda, wolność...

I nie słyszano już więcej gwizdu lekkiego. Czyżby tęsknota piosenkę żółwia zdławiła — na zawsze?

Ponoć — na starość nabrał szacunku dla ludzi.

R. Kinle



Fot. R. Kinle

Gołębiarz (Astur palumbarius) w Nadleśnictwie Druskieniki



Ku czci św. Huberta, patrona łowiectwa, odbyła się w Spale w dniu 2 listopada podniosła uroczystość, którą zaszczycił swą obecnością P. Prezydent Rzeczypospolitej. W uroczystości tej wzięli udział przedstawiciele Administracji Lasów Państwowych z p. Dyr. Adamem Loretem na czele

ŻYCIE ZWIERZYNY W GRUDNIU

Sarny odbywają drugą „fałszywą" ruję (niezapładniającą). U sarniątek — kozłów powiększają się na głowie pokryte mchem guzy, zwiastujące poroże. Dziki łochają się w czasie 4 — 6 tygodni. Borsuki śpią w norach. Głuszce przebywają w suchych sosnowych borach, żywiąc się igliwem. Cietrzewie zasiadają o świcie na brzozach, których pączkami się żywią. Nocują w krzakach lub (w mroźne noce) w śniegu. Kuropatwy przebywają w zaroślach i oziminach.

W GRUDNIU WOLNO POLOWAĆ NA:

Kozły, zające, bielaki.
Cietrzewie - koguty, jarząbki, pardwy, bażanty - koguty, ptactwo błotne i wodne, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty, ptaki krukowate i drapieżne.

Pozatem przez cały rok wolno polować, jak podano w 8 numerze „Ech Leśnych".

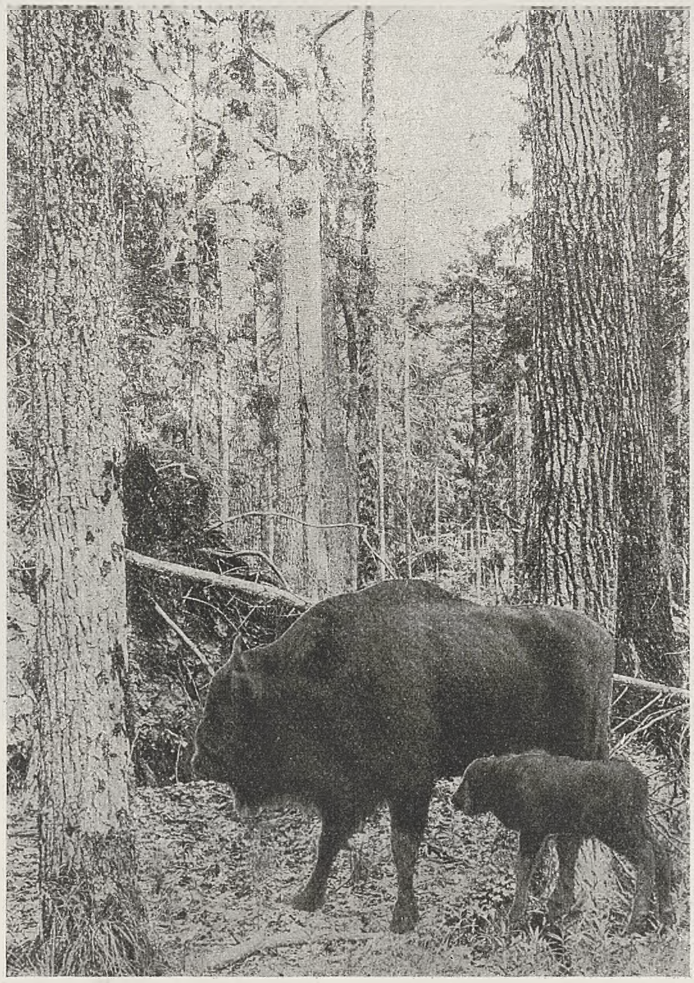
RODZAJE ŁOWÓW

Obławy na niedźwiedzie, dziki, wilki, lisy, zające szaraki i bielaki. Z psami na niedźwiedzie, dziki, rysie, lisy, zające. Na wilki z czerwonemi chorągiewkami (fladry). Czaty nocne przy padlinie na wilki i lisy. Na wilki z prosięciem. Podjazd myszkujących lisów w polu. Czaty przy przeręblach na wydry. Tropienie kun i gronostajów. Podjazd cietrzewi. Strzelanie do cietrzewi, porywających się z „jamek" w śniegu. Na kaczki przy oparzeliskach.

WYSTAWA ZWIERZĄT FUTERKOWYCH

W listopadzie r. b. odbyła się w Sztutgardzie „Druga Międzynarodowa Wystawa Zwierząt Futerkowych". Wystawę tę zorganizowała Unja Europejskich Związków Hodowców Zwierząt Futerkowych (Monachjum, Veterinärstrasse 6/11).

Na wystawie tej zebrano dużą ilość wszelkiego rodzaju zwierząt futerkowych, w pierwszym rzędzie lisy srebrzyste, które rozmieszczono klasami w zależności od procentu zrebrzystości (25 klas), następnie norki, szopy i owce karakuły. Nurtje oraz króliki wystawiono poza konkursem. Komisja sędziów pracowała pod przewodnictwem prof. Zwicky, prezesa Unji Europejskich Związków Hodowców Zwierząt Futerkowych.



Nowy mieszkaniec Puszczy Białowieskiej — żubrzątko

POCZTÓWKI NA ŚWIĘTA

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Dorocznym zwyczajem wszyscy składamy sobie wtedy życzenia wszelkiej pomyślności, nieraz drogą korespondencji. Przy tej sposobności polecamy uwadze naszych Czytelników, PP. Leśników, ostatnio wydane przez Wileńską Dyrekcję L. P. pocztówki, które służyć mogą również na przesyłanie świątecznych życzeń. Pocztówki te przedstawiają zdjęcia z natury, i obrazy osobliwości przyrodniczych, o tematach zarówno leśnych, jak łowieckich n. p. „Jezioro Szulnia", „Polana leśna", „Olbrzymy puszczy", Strumień leśny", „Widok zimowy", „Dzikie uroczysko", „Cietrzewie", „Łosie", „Tokujący głuszec", „Lis na myszkowaniu" i t. d. Zaznaczyć trzeba, że pocztówki wydane przez Dyrekcję Lasów Państwowych w Wilnie odznaczają się estetyczną szatą zewnętrzną. Zdjęcie pocztówkowe p. t. „Lis na myszkowaniu" zamieszczamy poniżej.

Popierajmy nasze własne wydawnictwa!

GOŁĄB - JEŻOZWIERZ

W amerykańskiem czasopiśmie naukowem „Journal of Heredity" znajdujemy interesującą wiadomość o wychodowaniu nowej, niezwykle oryginalnej odmiany gołębia, posiadającego zamiast piór kolce i nazwanego z tego względu „gołębiem-jeżozwierzem" (porcupine pigon). Gołąb ten nie posiada nawet zarodków piór, a w kolcach, jakie zamiast piór posiada, nie ma ani śladu warstwy, z której wyrasta chorągiewka pióra. Początek tej odmiany dał gołąb - dziwoląg, pochodzący z rodziców normalnych. Szczególnem jest to, że odmiana tak dziwaczna dała się utrwalić, gdyż zazwyczaj podobne osobliwe cechy zanikają w dalszem potomstwie.

POMNOŻYŁA SIĘ RODZINA ŻUBRÓW W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

W ostatnich dniach listopada (23-go) przyszło na świat w puszczy Białowieskiej małe żubrzątko płci męskiej zrodzone z 8-letniej żubrzycy Sweae i 4-letniego żubra Borusa.

Narodziny te są dużym sukcesem hodowli tego wymierającego już okazu. Jak wiadomo, Ministerstwo Rolnictwa sprowadziło przed półtora rokiem cztery krowy (żubry) i jednego byka w celu rozmnożenia.

Przybyły one do białowieskiego zwierzyńca, zakupione u Hagenbeka. W ten sposób ilość żubrów, ongiś królujących w Białowieży, urosła obecnie do liczby 6.

Narodziny żubra świadczą o doskonałem „zaaklimatyzowaniu się" tego zwierzęcia w rozległym zwierzyńcu w Białowieży, który, jak wiadomo, znajduje się w Nadleśnictwie Zwierzynieckiem w odległości 11 klm. od Pałacu pod Hajnówką przy osadzie Zwierzyniec.



Lis na myszkowaniu

Węgrzynowice — rodzinne pielesze Jana Chryzostoma Paska

I

Tu się podobno urodził — do tego uroczego zakątka, dzierżawionego przez jego rodziców nieraz zaglądał ów szlachcic, prawdziwie „dawnego autoramentu" — skory „do bitki i do wypitki". Typowa to wielce była postać onych współczesnych mu czasów. Posiadała cały zapas szczerozłotych zalet praojców naszych. Ujemne cechy stokrotnie „bilansowały się" — wybitnie dodatniemi! Jest on poniekąd protoplastą dzisiejszych hodowców i pisarzy łowieckich.

Obecnie Węgrzynowice są własnością p. d-rowej Ireny Łoguckiej z domu Kamoskiej. Stanowią rodzinne dobra tego domu, już od połowy osiemnastego stulecia. Ś. p. małżonek dzisiejszej dziedziczki, słynny specjalista chorób piersiowych, zgasł przedwcześnie w 1915 r., pozostawiając wśród ziomków niezatartą o sobie pamięć, wdzięczne wspomnienie u miejscowej ludności i na terenach łowieckich śliczne kilkunastoletnie, wzorowo prowadzone zagajniki. Gdy się jest w Węgrzynowicach — w tym, tak charakterystycznym, bo starożytnym, datującym się od 660 r. modrzewiowym dworku z dachem z podwójnem wiązaniem, — jako żywo, — zdaje się widzieć postać pana Jana Chryzostoma. Okrążony jest mnogością srogą oswojonych wyder i lisów, wilków, rysiów i borsuków — ba — niedźwiedzi potężnych, a jako baranki łagodnych. A nad nim szybują orły i sokoły — rarogi, ponury kruk się unosi. Krążą też obok, ostatnie żórawie i dropie — strusie „Dzikich Pól" dawnych, czarny bocian hajsterek, podczas, gdy mądre oczy puhacza śledzą za najmniejszym ruchem swego ukochanego pana i władcy. Krótko tylko nacieszyć się mogą jego obecnością gdyż, cała młodość burzliwa, tego rycerza ziemienina przeszła przeważnie w walkach srogich z wrogiem Rzeczypospolitej. On to, ten szczery żołnierzyk boży nieraz podjazdy tatarzyna znosił, niejednokrotnie do brodaczy carów moskiewskich na Kremlach przeróżnych posłował, własnemi oczyma widział barbarzyńską potęgę wschodu u stóp majestatu naszej Ojczyzny — o litość i zmiłowanie żebrzącą. Całkowity widział rozkwit i chwałę naszego oręża, homeryczne czyny bojowe towarzyszy znaków poważnych, rozmodlenie poświstów skrzydeł husarji pancernej w lapidarnych szarżach, wszystko druzgoczącej. A śród hejnałów tych gloryj i triumfów zachowywał zawsze ten sam sentyment przywiązania do wiary i tradycji ojców, ową skłonność do „kajania się" u stóp krzyża za wszystkie grzechy swoje i cudze — bajecznego temperamentu i animuszu staroświeckiego rezultat...

II

Rewiry Węgrzynowickie przed wojną, należały do najlepszych łowisk ziemi Mazowieckiej. Bezpośrednio stykają się z kompleksem spalskich lasów, w których ongiś, odbywały się dworskie polowania naszych byłych ciemięzców carów moskiewskich. Tereny te, aż roiły się od przeróżnej zwierzyny. Albowiem wschodni satrapi łożyli bajeczne sumy na utrzymanie zastępów jeleni, dzików, sarn, nie mówiąc już o bażantach, kuropatwach i zającach w rejonie Skierniewic. Etat jeleni dosięgał zawrotnej cyfry — pięciu tysięcy sztuk!... Bagatela!

Wojna europejska, zawierucha bolszewicka, no, i brak wszelkiego uporządkowania łowiectwa pierwszych lat niepodległości, zredukowały kwitnący ten stan — niemal do zera! Dziś, zawdzięczając energicznej gospodarce Dyrekcji Lasów Państwowych i Zarządowi reprezentacyjnych polowań Prezydenta, stan ten znacznie się polepszył. Na rozkładach widzimy już dziki i innej zwierzyny — pokaźne cyfry. Niewątpliwie powróci niezadługo dawna świetność do tych ślicznych terenów, ku pociesze serca dostojnego Włodarza Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Winniśmy czynić wszystko dla utrzymania naszego sztandaru łowieckiego na najwyższym poziomie. Że musi to nastąpić nie ulega wątpliwości. Oczywiście, że odrazu wszystkiego wykonać niepodobna. Już się zrobiło i robi dużo. Chociażby przeprowadzenie takiej ustawy łowieckiej, której nam zagranica zazdrościć może. Wracając do Węgrzynowic, echa przeszłości, odzywają się we wspomnieniach o bajecznych niegdyś zwierzostanach. Lecz i dla oka zawierają niemało ciekawości w postaci zanikłych już leśnych odmian.

Jeden z folwarków „modrzewkiem" zwany, stanowił kilkuset morgowy zwarty masyw drzewostanu modrzewiowego. Do dziś dnia na polach tego obszaru ocalały okazy drogocennego gatunku z którego wiele kościołków, cerkiewek i tyle prastarych dworków się budowało. A w nich rodziły się, żyły i trwały pokolenia antenatów naszych. Pod ich strzechą, ileż to piękna i estetyki w obrazach kobiet Polek, ileż cnót chrześcijańskich, ileż waleczności rycerskiej i miłości Ojczyzny żyło. Daleko wcześniej częstokroć niż w latach magnackich. Do rzędu podobnych należy skromny dwór, w ścianach którego tak rozkosznie dni kilka spędziłem. W mej wyobraźni krystalizowała się sylwetka Imć Pana Jana Chryzostoma na tle lat dawno już w Letę zapadłych, śród warunków poczciwości pełnych, a prostych, jak prostym było ońców naszych życie.

III

Dzisiejsza właścicielka Węgrzynowic dokłada wszelkich starań dla powrotu dawnej świetności łowieckiej. Ma dzielnych współpracowników w osobach p. Nadleśniczego Szpicera, wyborową straż leśną, z energicznym strzelcem Jankiem Grochowskim na czele. To też, gdy w roku ubiegłym, sarny bywały tylko przechodnie, dziś kilkanaście stałych da się zaobserwować. I zajączków coraz więcej, a królików bardzo dużo.

Parki kurapatw często się też napotyka, a co się tyczy cietrzewi to napewno na pół setki kogutów liczyć można. Jeśli lęgi będą pomyślne, to ilość ta napewno się podwoi do przyszłych toków wiosennych.

Wobec szeroko rozpowszechnionego kłusownictwa, a szczególnie tej plagi wśród podwarszawskich łowisk, wnykarstwo nie jest bynajmniej rzeczą łatwą do osiągnięcia uregulowania tych stosunków. Rewiry te są, jakby odseparowane drutem kolczastym, okalającym wojskową prochownię, umieszczoną w granicach lasów rządowych, pilnie strzeżoną przez posterunki ochronne i bez żadnych dróg publicznych. Warunki tu dla chowu i rozmnoży zwierzostanów są idealne, a także dla założenia bażantarni. Z myślą tą nosi się też właścicielka, bo cały ten obszar, znajduje się jakby w garnku, murem niskim od reszty świata odgrodzony.

Oprócz tego sympatyczny dzierżawca p. Hipolit Błażejewski, szeroko znany



W rodzinnych pieleszach Jana Chryzostoma Paska

działacz społeczny jest takim miłośnikiem przyrody, że na oczy admirowałem kilka kogutów cietrzewich, najspokojniej o późnych rannych godzinach, żerujących pod samymi zabudowaniami folwarcznymi. I ani cienia przytem kundelka czy chłopaków, uganiających się za nimi. Do podobnego spoufalenia się ptaków tych, dochodzi się niełatwo. Potrzebnym jest na to, cały „system" bezwzględnego spokoju i ciszy. Istotnie zastęp bajecznego ukojenia i ciszy wieje od tych pól mazowieckich, od krzyżów u podnóży których zdaje się widnieć postać modlącego się, o karabelę wspartego szlachcica „z Dzikich Pól" przybyłego, a po krótkich domowych wywczasach spieszącego z Królem Jegomościem Janem III na odsiecz Wiednia, dla obrony wiary i wolności.

Opodal luzak konie okulbaczone oprowadza na tle borów odwiecznych, horyzont określających. Tak dobitnie realną wizja ta się staje.

Dzięki Ci, św. Hubercie za możliwość uplastycznienia w wyobraźni chociażby tylko obrazów tej przeszłości zamierzchłej, a tak bardzo dla nas drogiej...

IV

Bawiłem w Węgrzynowicach już na schyłku toków cietrzewich, które ledwo raczyły wylatywać dla nieśmiałych czaszykań i paru bełkotów, kończąc na tem, gorączkowe, normalne wiosenne swe zawody. O batalјach zawziętych mowy już nie było.

Skromne cieciorki na gniazdach siedziały. Odgłosy minionych „zacietrzewień" objawiały się chyba w nerwowych „przelotach" po całem torfowisku lubieżnych samców. Na niem to, podobno „zlatywało się do 30 kogutów".

Śliczny widok przedstawiał się oczom, kiedy nie zważając na szereg lamp łukowych, palących się na terytorjum wojskowej prochowni i okrzyki posterunków, snuły się w różnych kierunkach sylwetki „teteruków" przelatujące niedaleko pociągów.

Kilkanaście sarn na życie żerowało, „multum" zajęcy na dzienne legowiska powracało, a kuropatewki zewsząd „ćwierkały".

Jeszcze jeden dobitny dowód, jak zwierzyna wszelka bystro się akomoduje do każdej nowej sytuacji.

V

Chociaż strzału jednego nie dałem, na tych błogosławionych rewirach do łowieckiego objektu, jednakże obserwacje te, odbyte na rodzinnych pieleszach Imć Pana Jana Chryzostoma, sprawiły mi niemało niesamowitych rozkoszy. Powetuję to sobie jeśli Bóg pozwoli na odstrzale letnich rogaczy, no, i tokach roku przyszłego.

Św. Hubert nie opuści swą opieką te przepiękne łowiska, tyle ukojenia dające każdemu, kto do źródeł obcowania z naszą polską przyrodą kornie się skłoni.

Niech żyje rodzinny ten zakątek zacnego Pana Paska — staroświeckiego szlachcica, zawsze gotowego „do bitki i wypitki" — tańca i różańca.

Henryk Rzewuski

Z łowów jesiennych

...Jestem znowu u samych podwoi puszczy. Na skraju borów tucholskich, głębokich borów sosnowych, jakie ciemną wstęgą rysują z oddali całą szerokość horyzontu.

Z mroków zieleni mocnej wykwitają złote płomienie brzóz; rozgorzały w niej niskie krzewy liściem czerwonem — w podszyciu leśnem; w maliniakach paprocie strojnie więdną, bronzowe pośród czarnych jałowców.

Wiatr zasię rude trawy czesze i nieustannym szumem świszcząc, gna z drzew ostatnie listowie. Późna, piękna jest jesień.

Zimny, pogodny świt zapalał się na niebie ogniem wiśniowo - siwych zórz. Jeszcze w mgłach mroku toną dukty leśne, szerokie linje, wiodące się korytem rozłożystem między ścianami zwartych zagajników, gdy już obchodzę rewir dobrze znany, już sztucer w pogotowiu czujnem trzymając każdy, ledwo wyraźny ślad przecinający drogę badań, każdy ostrożny cień przed sobą staram się wzrokiem przeniknąć, albo to zając, czy może królik pomknął, albo to gruby jaki zwierz daleko, lub może krzak jeno przyczajony i kształtem zwodzący?...

I czytam wszędzie, w miarę ustępujących mroków coraz dokładniej opowieść minionej nocy. Przesmykiem zwykłym dziki tutaj musiały szorować — znać wyciśnięte licznie w piasku rapcie, znać ostre szpile i ślady pyskania, gdy gwizdem, spokój widocznie mając naokoło, za korzeniami czy pędrakiem we mchu szukały, odwalając szmaty ziemi, prując nieustępliwie sterczące z piasku korzenie, grube nieraz i mocne.

Musiały nawet niedawno przechodzić — trawy, które szron ledwoznaczny posrebrzył, jeszcze się nie zdążyły podnieść.

Gdzież są?

Już się dzień czyni błękitny; śpieszę ku drodze granicznej, spotykając tropy mnóstwa sarn. Może się dziki zatrzymały w oddziele przyległym? Nie — przeszła trzoda, w zagajeniach nad rzeką, w dole zalegnie pewno na przespanie dnia.

Przechodzę śpiesznie pole oziminy, by do ambony na rowie stojącej dotrzeć i tam późny ranek przeczekać w nadziei, że przeciągnie wracająca od kartoflisk zwierzyna.

A ozimina zdradza wielką, wspaniałą tajemnicę. Jelenie były tej nocy!

Noc była księżycowa. Wystarczy. Łączy się dla mnie z tem wspomnienie tej samej pory w roku ubiegłym. W innych zupełnie stronach jeleń o księżycu wyszedł na moje stanowisko, ten właśnie, którego kształtny wieniec zdobi dziś ścianę mego pokoju.

Więc i tu były. Na samą myśl o ich bliskości serce myśliwego inaczej bije. Jak wobec majestatu, jak w obecności potęgi jakiejś królewskiej, największej, najbardziej wspaniałej.

Wystarczy pokazać ręką szereg równych, głębokich śladów — już się wie, już rozumie, już błysk w oczach jasny mówi o radości, o tęsknocie za spotkaniem. Ale spotkać zwierza szlachetnego niełatwo.

Tymczasem nie pora rozmyślać, trzeba mi na ambonie zasiąść w oczekiwaniu. Wspinam się po drabinie ku koszowi na słupach wysokich, wyplecionemu jałowcem, skąd się widok roztacza rozległy i skąd nieraz już padł mój strzał, po długich godzinach oczekiwania — nareszcie zwycięski.

Wspinam się wolno, ostrożnie każde stąpnięcie ważąc, bo zdarzyć się łatwo może, że drzewo przegnić zdążyło od ostatniego razu i ciężaru człowieka nie wytrzyma...

I nagle, między szczeblami drabiny widzę, że się od lasu odrywa ciemna sylweta jakowegoś zwierza i prosto na ambonę ciągnie. Nie wiem w tej chwili, coby to być mogło. Dzik albo kozioł? Na sztych stoi i daleko jeszcze... Ostrożnie przesuwam sztucer, opieram go jedną ręką na poprzeczce i przez lunetę szukając celu, do strzału się sposobię szybkiego.

Rozjaśnia się wreszcie obraz w ostrem szkle... Co to jest? Nie mogę się połapać. Jakiż to zwierz?

I nagle robi się bardzo zabawnie na duszy. I wściekłość zarazem i śmiech. Suka, seterka moja najmilsza a nieposłuszna, snać w domu zostawiona, w przypływie tęsknoty, na poszukiwanie pana kopnęła się samopas i tu mnie, ku zadziwieniu obopólnemu znajduje. Czeka teraz mocno zaniepokojona, pełna zwiątpień, wiedząca, że kara nie może jej minąć.

Przywołuję ją kiwnięciem ręki — co robić? Przybiega radosna.

I jakże tu teraz zwierzyna ma się z lasu pokazać, kiedy pies na polu?

Chyba, że posłuszeństwem wynagrodzić zechce wyżlica w tej chwili przykrość, jaką uczyniła.

Daję jej ręką znak z góry. Rozumie tylko po angielsku. Więc — „down"! Waruje w rowie. Wobec tego są znowu wszelkie szance.

Siadam z bronią gotową i czekam. Mija chyba pół godziny, już się słońce z za wąskich chmur przebiło. Wiatr jest mroźny, zimno tu na górze przeraźliwe. A od lasu nic i nic. O psie prawie zapomniałem. Zastanawia mnie, że nawet zajęcy nie widać. Coś tam mignęło w zagajniku, ale się skryło zaraz. Chyba w tem jest jakiś powód?

Wstaję więc, żeby się rozejrzeć.

Tak, teraz się niczemu nie dziwię. O jakie dwadzieścia kroków od ambony na gładkiem polu stoi moja seterka, jakby ją kto wykuł z kamienia, nieruchoma, piękna, z wlepionemi w zagajnik ślepiami, ważna, oczekująca.

Jestem bezradny. Na to niema sposobu, zresztą czas najdogodniejszy już przeszedł.

Złażę przeto zły trochę, chociaż tak na serjo trudno mi się na sukę gniewać. Dostała po skórze, rozumiejąc dobrze, że sowicie na karę zasługuje. Nie przejmuje się tem jednak, ani martwi.

Wracamy w najlepszej zgodzie ku domowi, oboje pełni wrażeń. Myślistwo można przeżywać prawdziwie, nie potrzebując nawet emocyj strzału.

Jesienny bór przenika serce niezwykłem ukojeniem, spływa w nie ciszą, zmiąconą jeno szelestem złotych, opadających liści.

Aleksander Janta - Połczyński

Powrót myśliwego

(Feljeton myśliwski)

Bądź pozdrowiony, jasny domie, gdzie oczekują wraz z pierwszą gwiazdą na niebie powrotu myśliwca. Krzątają się, wyglądają, nadsłuchują, bo on wróci — nasz! Bez niego cała uroczystość byłaby smutkiem, żałobą. Choć nie z pracy, a z uciechy własnej — wróci zmęczony, zziębnięty, ale pełen wesela, radością opromieni serca bliskie i twarze przyjazne.

Bądź pozdrowiony, jasny domie, pełen czujnego oczekiwania powrotu myśliwca!

Bądź pozdrowiony, gdy na wstępie powitasz jasnością i ciepłem odrętwiałego z chłodu myśliwca, zaśnieżonego z śmiesznemi soplami lodu na wąsach!

Wigilja! Stało się zadość tradycji. Kilka kotów z bryczki zniesiono i rzucono je w kąt kuchni.

Niezła to zapowiedź pomyślnego roku łowieckiego. Daj, Boże! Radują się wszyscy, winszują.

Jedno pragnienie: zrzucić z siebie ciężką odzież, przemarzłe buty, wyzbyć się zimna, przejmującego do szpiku kości i zanurzyć się całym sobą w kojących, ciepłych falach.

Kilkanaście wiorst bryczką w mroźną, wietrzną noc po całodziennym marszu po grudzie dotkliwie dały się we znaki.

— Odpocznij — słyszysz dobry głos. Patrzysz w oczy jasne, ciepłe i całujesz śliczną dłoń, pełen wdzięczności. Za co? Za te oczy, że są, że patrzą na ciebie. Za niemowny ich udział w twoich radościach.

Wyszła. Słychać przez ścianę krzątaninę, trzask polan w kuchni, brzęk szkła. Zmieszane, nieomal duszące zapachy kulinarne... A niech tam! To nieważne!

Poddajesz się obezwładniającemu działaniu ciepła. Mózg, pobudzony wrażeniami dnia, w wysokiej temperaturze pokoju ulega silnemu podnieceniu. Przymykasz oczy. Marzysz? Nie, przeżywasz wtórnie przygody dnia. W tej chwili znów masz wszystko w sobie — życie tak bujne, pełne ruchu, barwne, plastyczne. Przeżywasz w najwyższem natężeniu każdą sytuację, rozmieszczenie stanowisk, długie minuty oczekiwania z bijącem sercem, sygnały, odgłosy, pokrzyki, naganki i linje strzałów. Gdy każdy z nich, chybiony czy celny — ma swoją historję, jest pełnym obrazem zwycięstwa, chluby lub zawodu, porażki. Gdy każda chwila, rzut oka, dwa, trzy ruchy szybkie, celowe, stają się błyskawicznym skrótem wielkiego dramatu Życia. Jak dobrze, tu w cieple, słyszeć przez ścianę krzątaninę Twoich stóp.

Wir obrazów mknie. Odjazd. Ranek szary, mroźny, wietrzny. Wyciągnięto numery. Kotły zimowe. Sygnał! Zima mało śnieżna. Gołe podorywy pod niebem sinem, skłębionem. Duży obszar ma być opolowany, więc wielkie kotły wyznacza łowczy zamaszyście. Fuzji kilkanaście, naganki z półsetki.

Wiatr wściekły, natrętny i przejmujący, łzawi oczy. Trudny będzie strzał. Naganka podryguje, trzęsie się z zimna. Wyruszyła, zachęcona podwyżką zapłaty.

Skacz, bracie, po ostrych, przemarzłych skibach!

Kroczysz bez wytchnienia, bo wiatr nie pozwala ustać na miejscu. Ręce grabieją pomimo rękawic. Kryjesz je w kieszeniach; wyciągasz tylko do strzału. Ten i ów rozciera już uszy śniegiem, z brózdy wyskubanym.

Strzał jeden, drugi, trzeci...

Sygnały. Zbiórka. Mało co na rozkładzie — parę kotów zaledwie.

— Wiatr strzały znosi, oczy załzawione! — narzekają myśliwi.

Znów sygnał! Wyruszają myśliwi i naganka — skuleni szparkim krokiem dążą, zmagając się z wiatrem.

Sygnał. Znów strzały. Przeklęty, złośliwy wiatr przynagla do pośpiechu. Łowczy ani na chwilę nie daje odpocząć, rozwija i zwija kocioł za kotłem.

Wiatr wzmaga się, dmie ostrym pyłem śnieżnym. Niebo zasępia się. Sygnał — ostatni kocioł pocieszenia! Niejeden się ociąga, prostuje zbolałe nogi, wymawia się od skrzydła i proponuje zamianę. Młodsi chętnie go w tem wyręczają.

— Ruszać! — pada rozkaz. Nogi ciężkie, jak kłody, utykają po skibach, twardych, jak skała. Wiatr tnie ostremi, zimnemi batami. Zadymka się sroży.

— Skacz, bracie, i pilnuj się, aby nie stracić z oczu śladu poprzednika śród gęstej szarzyzny, co świat cały zasnuła. Skacz, bracie, bodaj do zaparcia tchu.

Sygnał — kocioł zamknięty! Strzały dalsze. Jeden bliższy.

— Pilnuj się! — Śród wichru, zamieci szare pomykające stworzonka nabierają fantastycznych kształtów. Pomykają, jak opętane, — strwożone wichrem i zamiecią; pierzchają śród śnieżnej przędzy lotnej, jak zbłąkane duszki przyziemne, zaledwie widoczne. Strzał staje się prawie niemożliwym. Mrok coraz gęstszy. Myśliwi już nie widzą się wzajem.

Sygnał i naganka do środka! Myśliwi stają na miejscach. Łaska Boska! — mogliby się postrzelać.

Zbiórka. Parę kotów padło. Śród śnieżycy ciężki, długi powrót do drogi, gdzie pojazdy czekają.

Oćma zapadła, choć godzina trzecia zaledwie dochodzi. Strzepują śnieg. Przemarzli na wylot, otulają się w futra na bryczkach i — jazda, co koń wyskoczy!

Tak było. Minęło. A w duszy jeszcze trwa: zadymka, śnieżyca, uciążliwe skakanie po skibach, ucieszne zabiegi, fortele starych graczy-szaraków w celu przerwania się przez żywą obręcz zimowego kotła. Sygnały, pokrzyki, narzekania i strzały — chybione i celne i jeden, ostatni ten n a j w a ż n i e j s z y. Obraz natrętny: kot na linji, o 50—60 kroków, pomyka równo, bez pośpiechu. Prowadzisz lufy, celujesz, już go masz na muszce. Pewność strzału czyni twój ruch ostatni, decydujący — stanowczym, spokojnym, niechybnym. Strzał! Oczom nie wierzysz—kot idzie! Poprawiasz—drugie pudło! Ostry, cierpki zawód... Żrący wiew wściekłości. Taki strzał — zmarnowany! Sygnał!

Nie miejsce i nie czas na żale próżne.

Wszystko to było i minęło. W tobie jednak żyje. Trwa świeże, mocne i takiem zostanie na długo, bodaj na zawsze. Jedno uczucie odeszło, zginęło w duszy bez śladu, w błogiem cieple domu, — wspomnienie przebytych trudów i chłodu.

Wtedy bodaj jak nigdy, czujesz w głębi serca ten dom, — najbezpieczniejszy schron na całym obszarze życia. I w zapamiętaniu miłosnem przytulasz go do piersi.

Bądź pozdrowiony, jasny domie, gdzie wraz z pierwszą gwiazdą na niebie, oczekują powrotu strudzonego myśliwca.

Władysław Gacki

POKÓJ LUDZIOM...

Pokój ludziom...

Niechaj nigdy groźny wojen zew
ze snu nie zrywa dzieci —
Niechaj nigdy człowieka krew
na rękach ludzkich nie świeci —

Pokój ludziom...

Dość mamy bratnich walk —
cichą śmiercią pragniemy umierać!
Niechaj mordercza stal
oszczędzi pierś bohatera.

Pokój ludziom...

Niech ten człowiek, którego zwą: wróg,
stanie nam się bratem, towarzyszem,
na najświętszej z wszystkich dróg,
tej, którą Chrystus przyszedł.

Pokój ludziom...

Niech ta droga przemierzy wzdłuż
krainę nienawiści,
niech po wiekach trwogi i burz
tęsknotę za cudem ziści.

Pokój ludziom...

Za tym cudem, że pośród nas
stanie Pokoju kościół,
gdy już wejdziemy w szczęśliwy blask
jedynej drogi: — miłości.

JANINA BRZOSTOWSKA

Zwyczaje ludu pomorskiego na Boże Narodzenie

Z „Kroniki o Polskiem Morzu" podajemy Czytelnikom artykuł znanej autorki dr-owej Bożeny Stelmachowskiej o zwyczajach świątecznych ludu pomorskiego.

(Przyp. Red.)

Obrzędy i zwyczaje doroczne ludu pomorskiego wskazują na ścisłą łączność etnograficzną Pomorza z całą Polską. W głównych, zasadniczych linjach nie odbiegają od znanych powszechnie w Polsce zwyczajów dorocznych, jakkolwiek pewne szczegóły wyodrębniają teren pomorski w swoisty sposób.

Opierając się na obfitym materjale, zebranym częściowo przez Instytut Bałtycki w Toruniu, a częściowo za pomocą ankiety własnej, wystosowanej za pośrednictwem Pomorskiego Kuratorjum Szkolnego do nauczycieli szkół powszechnych, zestawiam główną treść na podstawie wspomnianych materjałów.

Przedewszystkiem obrzęd Bożego Narodzenia wykazuje tych cech odrębnych stosunkowo dużo, daleko więcej, niż obrzęd Zapust, Wielkanocy, czy innych świąt w roku. Już na dziesięć dni lub na dwa tygodnie przed Bożem Narodzeniem zaznacza się szczególny ruch w domach i zagrodach wiejskich. Odbywa się bowiem pośpieszne czyszczenie, porządkowanie, bielenie izb, zamiatanie podwórza i obejścia. Lud w powiecie kartuskim nazywa te zabiegi gospodarcze „akarowaniem checzy".

Gdyby nawet cały rok chata nie była bielona, to na Boże Narodzenie za wszelką cenę powinna być czysta, bo „jeśli w Wigilję Bożego Narodzenia niechludno — to cały rok brudno", mówi lud w okolicy Świecia. Na roli natomiast nie pracuje nikt, bo utrzymuje się przekonanie, że ziemia uprawiana w adwencie — schorzeje. Podobno też nie wolno prząść i drzeć pierza, unikać wszelkich przyjemności. Tylko kawalerowie chodzą na „rajby", czyli konkury (pow. kartuski). Nie zapominają o religijnych obowiązkach i lud uczęszcza tłumnie na roraty, odbywając spowiedź „agwanową" (pow. starogardzki).

Ostatnią niedzielę przed Bożem Narodzeniem młodzież przebiera się w kostjumy i maski, obchodzi wsie, anonsując często przybywanie swoje dzwonkiem. Przy wstępowaniu do chat gospodarzy zachowuje milczenie, porozumiewając się z sobą gestami. Obejdą chatę, tupocząc silnie o podłogę, i odchodząc dalej (Czersk). W powiecie starogardzkim przed Bożem Narodzeniem ujawniają się gwiazdory, czyli tak zwane „gwizdy". W skład ich wchodzą: bocian, koza, niedźwiedź, jego przewodnik, komisarz, djabeł, dziad, zbierający pieniądze i baba z koszem na prowjanty. W powiecie chełmińskim „gwizdy" słuchają pacierzy i nie zbierają datków lecz sami udzielają ich dzieciom. Słodycze i pierniki bywają przytem niekiedy symboliczne z brukwi lub kartofli.



Rafaelowska Madonna della Sedia
z Dzieciątkiem Jezus

Charakterystyczne dla zwyczajów Pomorza jest chodzenie chłopców z szopką już przed Bożem Narodzeniem. Jednakże największe nasilenie imprez maszkarowych okresu Bożego Narodzenia przypada w samą Wigilję. W Kiełpinach np. (pow. lubawski) gwiazdory straszą dzieci, karzą lub nagradzają w Wigilję Bożego Narodzenia. W powiecie kartuskim ulubioną dekoracją maszkar bywa owijanie słomą i zasłanianie twarzy maską, najczęściej własnego pomysłu i wykonania występujących. Okrycie głowy stanowi rodzaj korony w gwiazdę. Koronę taką sporządzają z tektury, oblepiając ją kolorowym papierem. Chodzą zazwyczaj w trójkę; gwiazdorom towarzyszą kozły, bociany, komisarze, baby i dziady i taką gromadą odwiedzają chaty. Zmuszają dzieci do mówienia pacierzy, pod groźbą bicia „korbaczem".



Przy choince Photo-Plat

W Bierakowicach, (pow. kartuski) o zmroku, schodzą się parobcy u jednego z gospodarzy i przebierają się za „gwiazdki". Dziewczęta wybiegają na drogę i wyglądają maszkar niecierpliwie. „Gwiazdki" owijają się od stóp do głowy kręconemi ze słomy powrozami, na plecach dźwigają worek z jabłkami i orzechami, a uzbrojone w „korbacz" nawołują do pacierzy. Gwiazdkom towarzyszy cała zgraja dziwnych postaci, jak baba, „strech" (dziad), komisarz, żandarm pruski, kozieł skaczący i bodący domowników, niedźwiedź, mruczący groźnie i bocian klekoczący.

Całą tą zgrają zarządza „gwiść". Jeżeli dwie różne maskarady gwiazdkowe, jako odrębne grupy, pochodzące z innych wsi, spotkają się — wówczas wywiązuje się walka.

W Bierakowicach po odejściu „gwiazdki" gospodarz bierze słomę, którą gwiazdki w izbie zostawiły po sobie i ze słomy tej kręci powrozy, owiązując nią drzewka, aby dobrze rodziły.

W Wigilję kobiety kończą szorowanie, mycie, czyszczenie, trą mak na „makiełki" i gotują strawę. W południe kończy się praca „na oborze" (w podwórzu) i każdy podąża do domu, aby się trochę „ogarnąć", „bo to przeci świanta".

Zachowują ścisły post, nie jedząc nic prawie do wieczerzy. Zwyczajem staropomorskim, tak jak powszechnie w Polsce, obchodzono wigilję przy stole wigilijnym, zasłanym sianem. Dzisiaj, ogółem siana nie kładą, szopki najczęściej nie stawiają, natomiast stroją choinkę i zapalają na niej świeczki o zmroku.

Stawianie i strojenie choinki na Pomorzu, rozpowszechniło się dopiero po wojnie francuskiej, czyli po r. 1872. Choinkę strojono początkowo tak, że zawieszano na niej orzechy i jabłka owinięte „pozłotkiem", kolorowe łańcuchy i t. p. Dopiero od roku mniej więcej 1900 poczęto używać świecideł fabrycznych, pochodzących przeważnie z Turyngji.

Obecnie zaznacza się powrót do prymitywniejszego, lecz bardziej swojskiego przystrajania choinki w słodycze i owoce.

Dzielenie opłatkiem bywa wszędzie tam w użyciu, gdzie zastawia się wieczerzę wigilijną. Przed wieczerzą głowa rodziny dzieli się ze wszystkimi opłatkiem, nie wyłączając służby. Zwierzęta otrzymują opłatek, lecz koloru czerwonego. Gospodarz wgniata opłatek w chleb i daje bydłu razem z sianem, leżącem na stole w czasie wieczerzy...

W Złotorji, u małych gospodarzy jada służba przy jednym stole z gospodarzem i jego rodziną. U większych gospodarzy jada służba w kuchni. Podczas wieczerzy spożywają najczęściej groch z kapustą, kaszę jaglaną, kluski, ryby na oleju, w domach uboższych śledzie.

Po wieczerzy śpiewają kolendy. Na Kaszubach ulubioną jest pieśń: „Witaj Jezulu" o melodji bardzo skomplikowanej, stanowiącej właściwie rodzaj lamentacji. Autorem wspomnianej kolendy jest ks. P. Nagórski, melodję skomplikował Feliks Nowowiejski, nie jest więc tworem ludu.

Ludowy i regjonalny charakter pomorski ma inna kolenda, śpiewana w okolicach Torunia:

„Jadu" pastuszkowie, nietylko królowie,
Na wozie, na wozie.
Jechali z „kapelu", niech nas „rozweselu",
Na mrozie, na mrozie.

Graj Bartek, Jezus na cię woła,
Stój „dziecię" aż ja bas nastroję,
I smyczek, i smyczek.

Mikołaj się troska, że niema ni włoska,
Na smyku, na smyku.
Nie myśląc, co wiele, szast — ogon kobyle,
Do krzyku, do krzyku.

Jak zarżnął swoje „szałamaje",
Aż dziecię paluszkiem mu łaje.
„Powoli" — „Mikołaju!".

A Stach swoje dziwy — Boże litościwy,
Okaże, okaże,
Wziął kozę na strony, zaczął piękne tony,
No w parze, no w parze.
Bek — beczy koza:
„Śmierć połknę, śmierć połknę".

Zaś Banach kulawy, zleciał na łeb z ławy,
Jak bieżał do szopy,
Niósł na sobie cielę, Panu na niedzielę,
I sera pół kopy.

Aleć to wszystko potonęło,
Jak ława Banacha minęła,
I poszło do wody.

A Jan i Franek nieśli mleka dzbanek
Dla małej dzieciny.
Ale jak bieżeli, tak wilka ujrzeli
U gęstej krzewiny.
Więc dzbanek od strachu rozbili,
A mleko obydwaj wypili
Skorupy roznieśli.

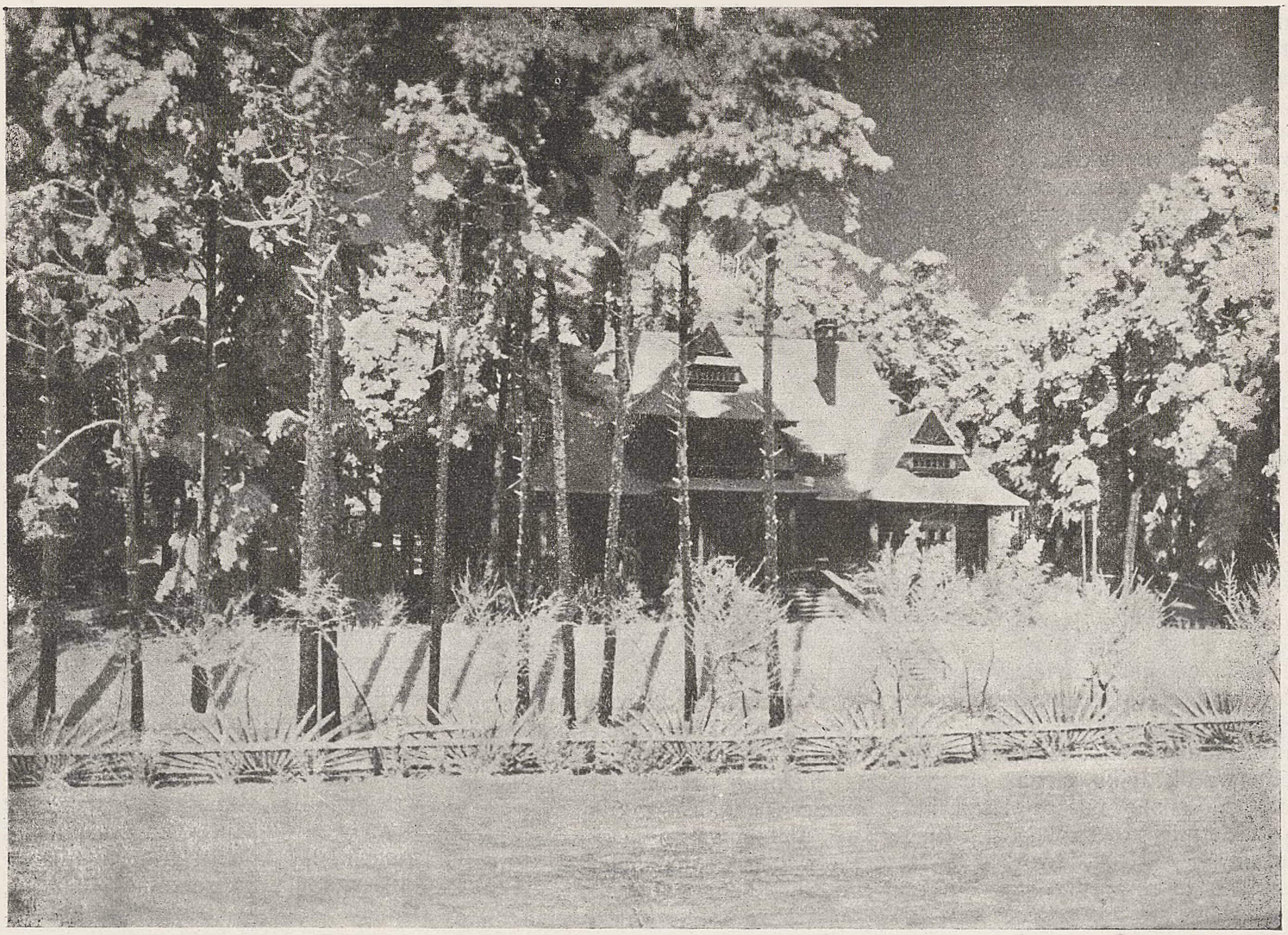
Bądź zdrów, Panie Mikołaju, trzeba do wody,
Z trzodeczką, z trzodeczką,
Jezus mruga brewką,-daj wino konewką
I z beczką, i z beczką.

Dziękują dzieciątku pastuchy,
Nalawszy swe gardła i brzuchy, —
Chwała na wysokości!

Oprócz podanych, są na Pomorzu w użyciu inne jeszcze kolendy i pieśni, w całej Polsce znane i śpiewane, jak je podają śpiewniki kościelne, czy świeckie.



Morze Polskie



W Noc Wigilijną Fot. J Jaworczykowski

W niektórych domach, po wsiach, utrzymuje się zwyczaj palenia w piecu przez całą noc wigilijną, aby przybywające Dziecię Jezus nie cierpiało zimna (Swornegacie).

Przed północą praktykują owiązywanie drzewek dla urodzaju. Wychodzą do sadu i zbliżają się do drzew mówiąc:

„Dziś się Krystus rodzi, niech nam „brzad" (owoc) oswobodzi, a z tych gałązków niech „bandą" tysiące „brzadu" zawiązków (Rąbark pow. starogardzki).

W powiecie chojnickim przy obwiązywaniu drzew mówią: „Wstaj, śpisz, nie rodzisz". Uderzają przy tem trzy razy w drzewo (Legbąd).

W okolicy Świecia, owiązuje się drzewka cichaczem, aby sąsiad nie podejrzał. Przy owiązywaniu należy do obrzędu, aby owiązujący spełniał swoje czynności w możliwie niekompletnem ubraniu. To też zdarza się niekiedy, że mimo chłodu, czy mrozu owiązywania dokonują boso i w bieliźnie. W Linówku (pow. czerski) ojciec posyła syna z powrózłem i rózgą do sadu. Syn owiązuje drzewka i, bijąc je rózgą, woła: „Ty śpisz a nie rodzisz, wstań i rodź, bo dziś Bóg się rodzi". Natomiast w Bartlu Wielkim, w Płociźnie i w Cieciorce owiązują drzewka kłosami zboża, a czynność tę wykonują nawpół nago, o północy.

Pamiętają nawet o ptakach; w Pruszcu dostają ptaki w Noc Wigilijną snopek z ziarnem, położony w drzewie.

Opowiada sam lud na Pomorzu, że bydło rozmawia w Noc Bożego Narodzenia, lecz ludzie obawiają się słuchać tej mowy zwierzęcej, gdyż dowiadują się o sobie rzeczy przykrych.

Pewien gospodarz chciał posłyszeć, jak muły mówią do siebie. Usłyszał więc: „Wstań, Bury, bo za trzy dni powieziemy gospodarza do grobu". Gospodarz przeraził się i „pomer". W okolicy Tucholi można przysłuchiwać się mowie zwierząt o północy, lecz mowę tę słyszą tylko ludzie bez grzechu. W Swarzewie, z wiarą w mowę zwierząt łączy się przekonanie, że zwierzęta mogą poskarżyć się Nowonarodzonemu, gdyby je gospodarz krzywdził. Dlatego też gospodarz nie skąpi wówczas niczego. Daje bydłu siana, koniczyny, owsa, żyta, jęczmienia i t. d.

Wieczór wigilijny wypełniają inne jeszcze praktyki ludu, a mianowicie: wróżby wróżą o pogodzie, o długiem życiu lub śmierci, a najczęściej o związkach małżeńskich.

W Pruszynach (pow. brodnicki) formułują taki prognostyk pogody:

„Gdy na Boże Narodzenie
Pola są zielone,
We Wielkanoc będą
Śniegiem przyprószone".

Po wieczerzy wigilijnej wróżą z cieni (Szczodrowa, pow. kościerski), kto ma dwa cienie, niedługo pożyje.

Panny liczą paliki w płocie. Jaki dziesiąty im przypadnie — takiego chłopca dostaną. (Czarlin, Kościerzyna, podobnie w Kartuzach). W powiecie kościerskim (Wielki Klincz), przybycie panienki do do-

mu, w którym mieszka kawaler — oznacza zamążpójście dziewczyny za tego właśnie chłopca.

O wszystkiem wogóle dowiedzieć się można, gdy znajdzie się kwiat paproci, zakwitający w Noc Bożego Narodzenia. Wszechwiedzę zupełną daje też specjalny układ pewnych przedmiotów, pozostawionych przez Noc Wigilijną na drogach rozstajnych do następnego ranka.

W święta oddaje się lud pomorski praktykom religijnym. Utrzymuje się okolicami zwyczaj poświęcenia owsa dla koni, oraz rzucania grochem z chóru po nabożeństwie, do wtóru pieśni:

„Zagrzmiała, runęła,
W Betleem ziemia”.

W powiecie brodnickim bywa w niektórych kościołach święcony owies, lub groch. Owies spasają końmi, lecz zdarzało się nieraz rzucanie grochem na wychodzącego z kościoła księdza, aby uczcić tym sposobem pamiątkę kamienowania św. Szczepana.

Taki jest — w głównych zarysach — dzisiejszy stan obrzędowości Bożego Narodzenia na Pomorzu.

Dr. B. Stelmachowska

Wigilja

Z życia zesłańców polskich na Syberji

Jeśli cię los Czytelniku, kiedy rzuci nad brzegi pięknych, w swojej pierwotnej ozdobie, rzek — Obi, Jenisieja, czy Leny, to ujrzysz tam, kędy wzrok tylko sięga, posępną, jakby zadumaną, puszczę leśną, którą ludzie miejscowi zowią t a j g ą. Rzekłbyś, że Bóg, tworząc świat, rzekł do tej krainy: „t y, n i e z a z n a s z r o z k o s z y u- ś m i e c h u, p o w i e k i w s z y s t k i e s m u t e k c i ę g n ę b i ć b ę d z i e, a p ł a c z i n a r z e k a n i a t o w a r z y- s z y ć c i b ę d ą”. Tak też się i stało. Przez długi okres niewoli, szli tamtędy polscy zesłańcy, brzęcząc kajdanami, i roszcząc łzami szlaki syberyjskie.

To też tajga, w smutku wielkim pogrążona, nie lubi zgiełku osiedli ludzkich, które tylko gdzieniegdzie przylepiły się u wybrzeży rzek, jak jaskółcze gniazda do strzechy. Tam, gdzie się człowiek pojawi, tajga odchodzi w dal, i jak wielka chmura gradowa zaściela horyzont.

Puszcza rzekę kocha, i jednocześnie nienawidzi. Nienawidzi — przez ludzi, którzy, gdy przyszli, to ostrzem siekiery cięli jej serce.

W takiem to miejscu, gdzie puszcza spragniona pieszczot i pocałunku rzeki dotknęła brzegu Jenisieja, śród odwiecznych jodeł i świerków, będziesz zdziwiony, Czytelniku, widokiem izdebki nikłej, z grubych, pociemniałych kloców skleconej, o nizkim dachu, mchem zgniło - zielonym pokrytej. Gdyby nie sieć rybacka, zawieszona na dwu kijach, małe czółenko u brzegu, czasem skóra niedźwiedzia, rzucona dla przeschnięcia na dachu, nie uwierzyłbyś, że chatkę tę zamieszkuje człowiek.

Takiego pustelnika, w takiej lepiance poznałem tak kiedyś, — a był nim powstaniec z roku 1863, Piotr Salecki. Jedynem zajęciem tego samotnika było polowanie i rybołówstwo. Ogłoszono wszak amnestję, mógł powrócić do kraju, lecz zwykle mawiał: „n i e m a m j u ż n i k o g o w P o l s c e z b l i s k i c h, p o c o t a m w r ó c ę?”.

Mijały lata za latami, a Salecki wciąż mieszkał w swojej izdebce u rzeki na skraju puszczy. Nie zapomniał mowy ojczystej, a z książką do nabożeństwa nie rozstawał się nigdy. W powstaniu 1863 r., otrzymał kiedyś polecenie udania się z rozkazem do sąsiedniej partji. W drodze dwóch kozaków napadło na niego; zarąbał ich pałaszem. W końcu powstania dostał się jednak do niewoli. Kilka lat był w kopalniach nierczyńskich, potem został zesłany na „p o s i e l e ń j e”.

Odwykł zupełnie od ludzi, rozmawiał niechętnie, i wogóle był nieufny. Natomiast zżył się z puszczą, jak z przyjacielem; znał jej życie tak, jak konik polny łąkę. Wiedział, kiedy i gdzie należy szukać tego, czy innego zwierza; słowem, czytał bez trudu w wielkiej księdze tajgi tak, jak uczony archeolog w napotkanych wykopaliskach przedhistorycznych.

Zwykle spokojny, zrównoważony, nie mógł sobie miejsca znaleźć, gdy się zbliżał czas Bożego Narodzenia. Ogarniał go wówczas jakiś niepokój, sam do siebie coś mruczał, i w dziwnem podnieceniu nie był w stanie niczem się zająć.

Pamiętam, wówczas, jak w pewien dzień wigilijny, mrozy skuły rzekę w stal, a śniegi pokryły grubą warstwą lasy, ziemię i zwały lodu na rzece, cisza zaś panowała taka, jak w celi więźnia. Mała tarcza słońca, ledwie dostrzegalna, zwolna stoczyła się za wierzchołki drzew.

... Wtem oto na wieczornem niebie ukazała się pierwsza gwiazdka, i wesoło zamigotała, zwiastując światu przyjście Zbawiciela. Salecki, otworzył książeczkę do nabożeństwa, przetarł stare okulary, lecz nie mógł czytać, bo mgłą jakąś zaszły mu oczy. Pamiętam, jak strząchnął ręką łzę dokuczliwą; lecz po niej nawinęła się druga, w gardle coś go poczęło ściskać, bo ręce staruszka zadrgały.

Wzruszenie dotąd nieznane, czy dawno już zapomniane, opanowało go z taką siłą, że rozpłakał się, jak dziecko. Po starczych policzkach płynęły łzy tęsknoty za życiem minionem, łzy żalu i skargi na tułaczkę wygnania, na samotność bez jutra, bez rodziny, bez bliskich i bez ojczyzny. Jakiś bunt wstąpił w niego, chciał krzyczeć, uspokoił się jednak i dobroć niewysłowiona ukazała się na jego twarzy. Zapomniał snać, że wiele goryczy doznał od losu i ludzi, gdyż usta jego poczęły bezwiednie spowiedź cichą przed samym sobą. Bił się w piersi, i w skrusze prosił Boga, który się narodził, o przebaczenie mu grzechów i grzechów tych ludzi, co go na wygnanie skazali. Wreszcie podniósł się zwolna, rozejrzał po izbie, i zdjął z półki małe pudełeczko, a w niem — przechowywany opłatek. Przełamał go i włożył do ust, lecz nie mógł przełknąć, znów bowiem wzruszenie nim owładnęło...

Ta spowiedź wigilijna była ostatnią spowiedzią, a opłatek przyjęty— ostatnią Komunją Świętą biednego zesłańca. Z nadmiaru uczuć i bólu, serce przestało w nim bić na zawsze.

Dusza jego odleciała przed majestat Zbawiciela Świata przy radosnych dźwiękach chóru aniołów, którzy w tę pamiętną Noc Wigilijną śpiewali właśnie ludziom:

„B ó g s i ę r o d z i...”.

B. Zarzycki



Na marokańskiej pustyni

Wonczas w Oranie

Czerwona jest tu ziemia algeryjska, spieczona i niegościnnemi skaliskami najeżona, a niebo nad nią jest białe, jak kreda, od pożaru słońca. Kiedy w zimie spadną krótkotrwałe deszcze, ścinane nieustającą wichurą, łamią się wachlarzowate gałęzie palm, sirocco wyje i gna w powietrzu purpurowy nalot piasków nad winnicami i dolinami jarzynowemi, a sucha od upałów przestrzeń pije chciwie, dziko i łapczywie wilgoć, aby się nią nasycić za cały rok; mrozu tu nikt nie zna, jak tego febrycznego ziąbu, który przenika do kości po zachodzie gorejącego słońca, w noc, — a święta Bożego Narodzenia mijają w bezpamięci, zagłuszone wołaniem muezzina z meczetów:

— Allah! Akbar!... Inch Allah! „Jeden jest Bóg, Najwyższy i Niepodzielny. Aissa, syn Marji, był tylko jednym z Jego Posłańców, iżby nauczał mądrości pisma Pentateuchu i Ewangelji i za Jego dopuszczeniem, czyniąc cuda, ulepił z błota ptaszka, w którego tchnął życie; z tej samej woli Stwórcy Pana, ślepemu od urodzenia przywrócił Aissa wzrok, trędowatego uleczył, umarłych wskrzeszał z grobów lecz przecześ nie był synem Boga Jedynego, jak powiadają chrześcijanie. Niebo skaże ich za to bluźnierstwo bo przekleństwo zawisło nad wszystkimi, którzy mówią, że Bóg[1]) ma syna!"...

Właśnie wonczas rok temu byłem w Oranie.

W wązkich uliczkach portowych, pnących się stromo pod górą na Place d'Armes, płynął czas, jak zwykle; nie zmienił się obyczajowo wygląd dnia powszedniego. Muły chłostane bez litości przez woźniców ciągnęły ciężkie platformy ze skrzyniami; tłum obdartych dzieci uganiał z krzykiem wśród śmiecia, ulatującego z wichrem w powietrzu; pod ścianami przy brudnych straganach stali zziębnięci Arabowie w wyleniałych z białości burnusach, kłócąc się w tłumie lub chrapliwym głosem zalecając swe liche towary, jako najlepsze w świecie; w tawernach rozbrzmiewały głuchem echem hiszpańskie tanga na elektrycznych gramofonach, a przy stolikach, pokrytych purpurowem suknem grały, jak zwykle, w karty leciwe niewiasty, nieodrodne córy matki Furcji, godne pendzla Goyi, — złośnice — megiery o twarzach nabrzmiałych od zmarszczek i tłuszczu, ozdobionych szminką, warstwą pudru i olbrzymiemi kolczykami, wydłużającemi ich uszy poza granice niezmiernie trajkocącego podbródka; o godzinie szóstej wieczorem, jak zwykle zagrzmiały syreny okrętowe i port z magazynów wyrzucił na miasto tysięczną, spoconą falę robociarzy, zwalanych mąką i węglem, okrytych z wierzchu mgławicą pary, dobywającej się z ziających ust, gdy tak zwartą, nieprzeliczoną masą darli się w pośpiechu pod górę, ku dzielnicy Kasbah, aby spocząć na matach i poduszkach ze słomianych płaszczy butelek od wina.

Zupełnie inaczej ten wieczór wigilijny wschodził wtedy z gwiazdami daleko, na tamtym brzegu morza, na północy, w „barbarzyńskiej" Polsce. Tam w każdym domu i w każdej rodzinie Bóg się rodził w tej chwili w kolendzie, oczekiwany Syn Boży, witany Wybawiciel i Pocieszyciel — tkliwe małe Dzieciątko, które przyszło na świat umieszkać z ludźmi i wzrość z nimi od ziemi do nieba.

Wonczas tylko opłatki, otrzymane w listach od bliskich z kraju, przypomniały mi w Oranie tę rzeczywistość, że świat nie jest wcale wielki tylko bardzo różny. Różni są tylko ludzie, krajobrazy i obyczaje.

Czcigodny mój l e p a t r o n Michael w hotelu „Splendid" przy rue Philippe był niezwykle zaskoczony tem, że przełamałem się z nim opłatkiem, życząc mu pomyślności. Nie był do tego przyzwyczajony ani przygotowany. Dopiero po dłuższej chwili wrócił do mnie z kuchni i powiedział:

— Żona moja i ja nie mamy wprost słów uznania dla tej pięknej, polskiej tradycji. Zjedlibyśmy razem opłatek i przyznać musimy, że nam smakował.

Patrzył przytem na mnie wymownym wzrokiem. Chodziło mu głównie o to, aby został dostawcą okrętowym. Mój opłatek i życzenia uważał za chęć zaprotegowania go w niebie, z którem, sądził, że utrzymywać muszę niezłe stosunki. Nawet w tej chwili patron Michael, poszukiwacz złota na afrykańskiem wybrzeżu i praktyczny bezwyznaniowiec, nie wzniósł się myślą ponad krąg swych doczesnych interesów.

Agent maklerski, młody, sympatyczny Szwajcar, mój stały sąsiad przy doobiednim stole, zachował sobie opłatek w portfelu, jako miłą pamiątkę naszej znajomości, upewniwszy się jednak przedtem, że jest on istotnie wyrobem polskim, krajowym. Oglądał go, jak maskotę, przyczem dodał, że od dzieciństwa ma pasję kolekcjonowania osobliwości.

Miałem dość tego. I tych pionierów cywilizacji, i tego świata, obracającego się myślą tylko w okół ołtarza mamony. Przeciętny kmiotek z Mazowsza, wieżący, że aparat radjowy ściąga burze, wydawał

[1]) Koran: rozdział V „Stoł"; rozdział IX „Jonas — Pokój mu!".

mu się wtedy kulturalniejszy i mniej dla mnie obojętny.

Byłem zaproszony na Wigilję wraz z kilkoma polskimi „legjonerami".

Śpieszyłem się na plac Viviani, sławny w Oranie z bezdomnych psów i kotów oraz nauretańskiego ogrodu, zawalonego moknącemi na deszczu beczkami z m a s c a r y[1]), przy którym wznosi się willa z tarasem, osłonięta aureolą może tak zasłużonej chwały, jak ów pamiętny ongiś „Hotel" ks. Czartoryskiego w Paryżu w latach emigracji po powstaniu listopadowem. Tam bowiem, jak rok długi, ściągają codzień dziś i zawsze zabłąkane w Afryce i w mundur Legji Cudzoziemskiej przyodziane dusze polskie, chłopcy tułacze, — latem w białych kepi, a teraz, zimą, w czerwonych, — po pociechę, po mowę rodzinną, po radę i opiekę do Madame Lalli, jak zwą w b l e e d z i e[2]) marokańskim p. Helenę Filochowską. W Polsce niewielu o tem wie, że znana ta powieściopisarka zasłużyła sobie na udekorowanie „Krzyżem Zasługi boć i dotąd, niestety, za swą dzielną i prawdziwie ofiarną pracę dla Polaków w Legji, żadnego odznaczenia nie otrzymała. Podjęła się społecznego zadania w cichości, samorzutnie, czerpiąc jedyną pomoc z własnego serca i tych łez w oczach, w imię wspólnej tęsknoty za daleką, jak marzenie ojczyzną. Pisały cośniecoś o tem czasopisma: „Świat Kobiecy", „Tygodnik Ilustrowany" i „Gazeta Lwowska".

Akcję swoją w Afryce rozpoczęła p. Filochowska u boku swego męża, majora francuskiego Geralda Vincent St. Dizier, stacjonowanego obecnie od dłuższego czasu w Oranie, który już kiedyś, lat temu dziesięć, sam walczył za sprawę polską nad Wisłą z kampanji przeciwko bolszewikom, za co dosłużył się rangi pułkownika wojsk polskich. Pani Filochowska zaopiekowała się Polakami w Legji, w ciągu ośmiu lat zrozumiała i rozgrzeszyła ich przewiny przeszłości, złe i dobre powody wstąpienia w szeregi straceńców „bo i któż jest bez winy; jeśli oddali się ci polscy tułacze po wszechświecie w pięcioletnią tutaj służbę, — febrze, c a f a r d o w i[3]) i śmierci na nieznanych polach walk z Arabami w Tafilalecie, — odkupili swe dawne błędy stokrotnie!".

Dotyka tedy ich bohaterskich ran w szpitalach, otuchą krzepi ich krzyże na mundurach, słowem i uśmiechem wzmaga na siłach i zachęca do wytrwania, a gdy znów są z powrotem w b l e e d z i e, książki i czasopisma im z Polski przesyła, niechże wiedzą, że tam o nich pamiętają i czekają na ich powrót w domu rodzinnym. Niech wrócą Polsce zdrowi i lepsi.

Przedziwny to ów spowiadający po polsku konfesjonał przy placu Viviani w Oranie. Nieomylna centrala dla wszystkich Polaków w Legji Cudzoziemskiej. Nieoceniona doprawdy placówka zagraniczna. I błogosławiona — gdyż procent polskiego „narybku" do Legji wzmógł się znacznie zwłaszcza w ostatnich latach. Patrzyłem na to sam przez kilka miesięcy w Oranie, jak marsylski statek „Sidi - bel - Abbes" wyrzucał na ląd w porcie coraz więcej polskiego materjału. Byli to głupi i zdrowi chłopcy wiejscy, którzy za 12 franków dziennie nie chcieli pracować w kopalniach francuskich, dokąd przybyli z Polski na emigrację. Nęciły ich przygody, a czekała gorsza nędza.



„Kompletny" strój legjonisty podczas ostrego pogotowia

*

Na Wigilję miał przyjść również Ossipof, Rosjanin, pułkownik z armji Bałachowicza, podziurawiony 18 kulami, teraz emigrant, handlujący na afrykańskiem wybrzeżu suknami malowanemi artystycznie przez kolegów białogwardiejców, — człowiek krzepki i charakterystyczny w wojskowym wyrazie twarzy, co go zakwalifikowało do roli ojca Joanny D'Arc w znanym filmie o życiu tej świętej bohaterki w zbroi. Nie przyszedł. Chciał może abyśmy byli w tej chwili tradycyjnej sami, wszyscy swoi — Polacy.

Pamiętam ten stół wigilijny, jak dzisiaj.

— Nie mogłam wam postawić drzewka! — rzekła z żalem p. Filochowska, — ale niech wam się zdaje, że tu jest Polska. — I podjęła wiązankę opłatków z gałązki jodłowej. Uczyniła to ostrożnie, bojąc się, by igły nie pokruszyć, otrzymała bowiem gałązkę tę już zeschłą przez drogę, odbytą w pakunku pocztą.

— A może ta jodła rosła na Pomorzu! — zamyślił się głośno leg. Wiljam Horn, a raczej z dziada pradziada rodowity Jan Dziuba, który w Legji korzystał z przywileju zmiany nazwiska. Mógł sobie liczyć najwyżej lat 18, a nigdy nie wstydził się twierdzić szczerze, że głupi był, jak niemowlę, skoro wygodną zagrodę ojcową porzucił dla awantur po świecie. Wistocie, w Afryce dopiero urobił sobie to zdanie. Nie ujrzał tu ani małp, ani lwów chociaż dlatego zaciągnął się do Legji. Teraz więc tęsknił w dwójnasób za zwykłą krową domową i cierpiał na straszny c a f a r d, nie mogąc się doczekać wysłużenia jeszcze czterech lat i powrotu do domu.

Na kominku płonęły małe kule brykietów i ciepły poblask padał na puszyste dywany. Jak ludzkie serca, zgrupowane przy tym stole wigilijnym, grzały się wonczas przy ogniu przygarnięte z ulicy psy i koty. Willa przy placu Viviani gościła ich całą czeredę. Była tam „Fundala" ruda szakalica, znajda „Kilb", jakiś „Kiciuś", „Myszka" i „Żydek"; ten ostatni zawdzięczał swoje życie p. Filochowskiej, uratowała go bowiem z rąk rozbawionych malców arabskich, którzy pragnęli go stanowczo położyć na szynach pod tramwajem.

Naprzeciwko mnie siedział bohater z pod Dżihani, Józef Markiewicz, st. legjonista, pieron Górnoślązak, o którym ostatnio pisały gazety. Przechodził właśnie

[1]) Mascara — rodzaj wina.
[2]) Bleed — po arabs. pole.
[3]) Cafard — robak tęsknoty, rozpaczy i nudy, trawiący szeregi Legji Cudzoziemskiej, określenie szaleńczego poczucia osamotnienia.



Marsz legjonistów przez pustynię z trzydziestokilogramowem obciążeniem podczas upału

rekonwalescencję w szpitalu Dames de Frances na Eckmühlu. A było to tak. Miesiąc temu dzich, wataha Berberów zaskoczyła znienacka patrolującą w wąwozach Dżihani kompanję I pułku Legji Cudzoziemskiej i wycięła ją w pień. Stało się to w okolicach Taf'laletu, znanego z sezonowych, jesiennych walk z Arabami. Z morderczej masakry ocalało wtedy zaledwie kilku ciężko rannych żołnierzy, którzy walcząc do ostatnich sił doczekali się odsieczy z Meridżia. Między nimi był Markiew'cz. Na początku bitwy dostał kulę, spłaszczoną o skały rekoszetem, w prawą nerkę, lecz bronił się do ostatniej chwili z karabinem w rękach, rozgrzanym od wystrzałów, chociaż spodnie, od zawijaczy do pasa, spuchły mu, jak dwie banie—od krwi. Miał tej krwi pierońskiej wiele, czerwony był na gęb'e, pewny siebie i zawadjacko uśmiechnięty.



Sousse w Tunisie, dawne fenickie Hadrumetum i rzymskie Justjanopolis. Stacjonuje tu obecnie 1 p. kawalerji Legji Cudzoziemskiej, w którym służy wielu Polaków

Teraz spozierał na dwa metalowe obrazki, przypięte do munduru: — l e m e d a i l l e m i l i t a i r e, najwyższe dla żołnierza francuskiego odznaczenie, zdobyte na polu chwały i... medalik św. Antoniego, najświętszy amulet opatrzności, bo chłop miał szczęście, darowane od Boga. Z śmiertelną raną przetrwał sześć godzin transportu, w pas przewieszony na grzbiecie muła aż do Meridżia, potem przelot aeroplanem do Oranu i tu operację bez narkozy. Gdy go krajali ani pisnął przez zaciśnięte zęby, zato darła się w niebogłosy siostra m'łosierdzia bo jej wtenczas z bólu dłonie ściskał, nieopatrznie w łapskach jego ostawione.

Taki był ten Józef Markiewicz, pieron, Górnoślązak.

Właśnie teraz major Vincent dzielił się z nim opatkiem. Rasowy oficer francuski o rzymskim profilu ujął za ramiona prostego żołnierza i uścisnął go mocno, serdecznie.

Mówili do siebie:

— M o n p r e m i e r s o l d a t!

— M o n c o m m a n d a n t!

Demokratyczne „mon", używane w armji francuskiej, zrozumiałem dopiero wtenczas. Czar, czyniący cuda brzmiał w tem słowie, porywał za serce, po bratersku, przekonywał i zagrzewał. Za to słowo szedł żołnierz francuski ramię w ramię z oficerem — na bagnety.

Ale major Vincent nagle przerwał:

— Tacy są wszyscy żołnierze polscy, jak ty Markiewicz, mon premier soldat!

Pisał o tem właśnie w tym czasie w swem studjum wojskowem z 1920 roku, p. t. „Orzeł Biały przeciwko czerwonej gwieździe".

Gdy potem, po złożeniu życzeń przy opłatku, przyszła chwila na kolendy nie wiem, jak to się stało, że jednomyślnie zaśpiewaliśmy wszyscy: — „Jeszcze Polska nie zginęła!". Ci, którzy kiedykolwiek byli dłuższy czas na obczyźnie wiedzą dlaczego nie mogło być inaczej.

Tam, daleko do „ziemi obiecanej" pobiegły teraz wszystkie myśli, do pól, lasów i łąk najpiękniejszych w świec'e,— do domu. Posypały się na gałązkę jodłową wspomnienia, — z pamięci, z przeczuć, a potem już i z fantazji, dyktowanej tęsknotą.

Markiewicz przypomn'ał sobie swe rodzinne Hajduki i jął się spowiadać z niesłychanej nienawiści do Niemców. Jakoś mu nie szło bo nie mógł sobie przy stole ulżyć przez zbyt swobodne pierunowanie to też postanowił wszystko raczej wyśp'ewać. A była to piosenka, do której taktu tłukł się z wściekłością pięścią po kolanach:

— Serca się lękają, a ni majom cego,
serca się lękają, ognia germańskiego!
Germany, Germany, coście narobili,
wyście mego brata w powstaniu zabili...

A gdyśmy wyszli z placu Viviani i księżyc wychylił się z poza zasłony chmur. Poszedł za nami, żółty, szklany, jak ten słoik miodu, który przyniosłem wtedy w darze na stół wigilijny. Miód ów dostałem na podróż od mej siostry ciotecznej. Składały go pszczoły z łąk czyżewskich i kwiatów na te szalone od tęsknoty usta legjonerów.



P. Helena Filochowska, opiekunka Polaków w Legji Cudzoziemskiej z mężem swym G. Vincent St. Dizier, mjr. francuskim i b. płk. wojsk polskich

Wonczas, tej nocy Bożego Narodzenia n'e zmieniło się nic w Oranie. Jak zwykle w tawernach pili ludzie absynt, „A n i s e t t e" i Q u i n q u i n a", przewalał się po ulicach tłum krzyczący, żałośnie zawodziły bezdomne koty na śmietniskach ulicznych a z r u e d e s J a r d i n s, do wtóru dolatywały fletowe dźwięki g e s b y i gardłowy śpiew arabski na trzy nuty.

Tylko jeden mały incydent, zresztą obojętny, zdarzył się tej nocy. Rzucono bombę łzawiącą podczas nabożeństwa w katedrze im. Serca Jezusowego, aby wypłoszyć modlących się na ulicę.

*

Dziś wspomnieć raczej chciałem o polskich tułaczach w Afryce, aby przysporzyć im myślą trochę radości na święta Bożego Narodzenia. W sponiewieraniu losu, — hardzi i milczący, w otoczeniu bezwiary, wieżący, w brudzie czyści i w czystości wytrwali, chłopcy ci od pługa, i młota, przybrani w kepi Legji Cudzoziemskiej, powinni doznać na święta dowodu pamięci od społeczeństwa. Zapatrzeni w przepaść rozłąki i tęsknoty — czekają. W tym czasie, coroku, bardziej im źle bez domu i c a f a r d nikogo nie ominie. A oto cuda radości sprawiłby im list z opłatkiem, upominek, książka lub bodaj gałązka jodłowa, na którą sam z wdzięcznością patrzyłem wtedy — wonczas w Oranie.

Janusz Stępowski

P. S. Chętnym wysłania dla Polaków w Legji Cudzoziemskiej upominku na Boże Narodzenie podaję adres:
M. l e C o m m a n d a n t e t M - m e G. V i n c e n t S t. D i z i e r. C e n t r e d e M o b i l i s a t i o n d'a r t i l l e r i e N r. 2. O r a n. A l g é r i e. A f r i q u e F r a ç a i s e.



Stary spichlerz w porcie gdańskim

Kronika o Polskiem Morzu

Gdy sięgniemy pamięcią w dzieje Polski, z niemałem zdziwieniem zaobserwujemy u naszych naddziadów przedziwną niechęć, a nawet uprzedzenie do morza. Szlachta przysłowiowo gospodarowała na zagrodzie w czem równą była wojewodzie, cały zaś ustrój państwowy był prowadzony w tym kierunku, aby ugruntować mocarstwową Polskę na lądzie. Dużo było u nas szczurów lądowych, bojących się choroby morskiej, — jakby dziś powiedział niejeden „wilk" ze Szkoły Morskiej w Tczewie.

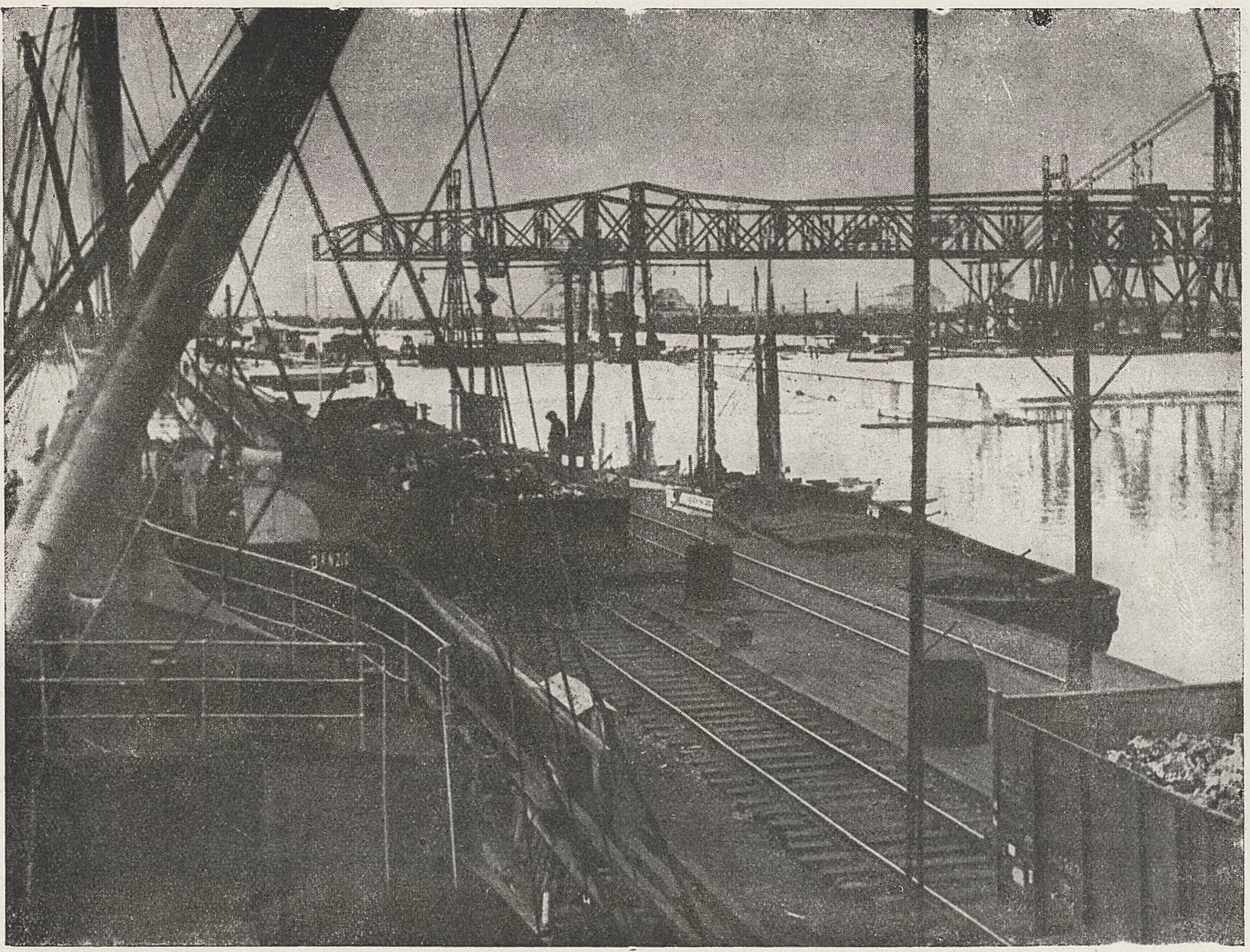
Z królów polskich, którzy posiadali prawdziwe zrozumienie dla znaczenia i polityki na morzu oraz silnej floty, możnaby wymienić zaledwie kilku na palcach: Zygmunta Augusta, Batorego, Zygmunta III i Władysława IV. Zygmunt August pozbawiony siły zbrojnej na morzu, aby ją stworzyć, musiał chwycić się systemu, jakim posługiwały się zresztą inne państwa, t. j. kaperstwa. Za radą Wacława Dunin Wąsowicza popierał poprostu korsarstwo; kaperstwo uznał prawnie w tym celu, iżby zwalczyć blokadę okrętów szwedzkich i duńskich, niszczyć je i stale niepokoić, aby w ten sposób utrudnić im kontrabandę wojenną. Stefan Batory wsławił swoje mądre panowanie zmuszeniem zawsze krnąbrnego i okoniem stojącego Gdańska do posłuchu i uznania go królem. Rządy Zygmunta III zaznaczyły się budową floty wojennej na morzu, która jednak miała być li tylko mostem, łączącym jego plany z koroną szwedzką i polską pod jednem berłem. Dwukrotne jego wyprawy do Szwecji skończyły się, jak wiadomo z historji, tragicznie. Flota, ufundowana wielkim sumptem i wysiłkiem państwa, uległa sromotnemu rozbiciu z powodu burzy i ostatecznego zwycięstwa jego stryja, Karola ks. Sudermanji. Dopiero Władysław IV był tym jedynym z monarchów, który chciał stworzyć według wypracowanego programu panowanie Polski na morzu i „dominium maris" uważał zawsze za najgłówniejsze zadanie swych rządów. Zbudował więc flotę i nie oglądając się na stale oporny Gdańsk, postanowił założyć nowe porty, Władysławowo i Kazimierzowo na mierzei Helskiej. Trafnym doradcą jego okazał się przytem hetman Koniecpolski, świetny znawca tak strategji lądowej, jak i polityki morskiej. Wszakże myśl Koniecpolskiego przetrwała wieki, a dziś za jej drogowskazem powstała Gdynia, kiedy przymorze Helskie okazało się za płytkie.

Z pośród zasłużonych, wydało polskie morze wielu ludzi talentu i wiedzy. Wśród pisarzy dawnych możnaby wymienić choćby Solikowskiego, który głęboko cenił znaczenie morza; Maciej Scharping walnie kierował armadą wodną Zygmunta Augusta; biskup Karnkowski mądrze opracował nowy statut dla Gdańska, aby zabezpieczyć prawa Polski do żeglugi na Bałtyku; admirał Dickman w sławnej bitwie pod Oliwą w 1627 r. pobił szwedzką flotę wojenną Niklasa Sternskjölda; Wejher w bohaterskich bojach związał na zawsze swoje nazwisko z wybrzeżem pomorskiem i miastem Wejherowem; i t. d. i t. d.

A jednak wszystkie te mozoły, zachody i zagony na Bałtyku nosiły raczej charakter wojenny z powodu warunków politycznych. Zawsze wonczas nieunormowane stosunki z Gdańskiem stworzyły niekorzystne podłoże do ustalenia i rozwoju morskiego handlu. „Okno na świat", jakiem jest dla każdego państwa wybrzeże morskie, było w Polsce w tych czasach, albo zamknięte, albo na krótki zaledwie czas otwarte.

Trzeba było doczekać ostatnich lat niepodległej, odrodzonej Polski, zanim handlowe sprawy morskie dojrzały w umyśle społeczeństwa, zakwitły i wydały obfite plony, przytem wybrzeże nasze stało się terenem twórczości, drogą dla przemysłu i kupieckiej ekspansji poza granice orężem ustalone.

W Gdyni, w lichej kaszubskiej wioszczynie, gdzie jeszcze przed kilku laty prażyły się w słońcu rozpięte na wietrze sieci rybackie, a nieliczni turyści brnęli po kolana w piasku, — plaża ta została piędź po piędzi wybagrowana, a w jej miejsce wdarły się głębokie kanały portowe, obite żelazobetonowemi kesonami i wydłużone na szerokie wody molami, ochronionemi przed napaścią fal kamienistemi łamaczami. Gdynia wyrosła wciągu kilku lat z ziemi, jak grzyb - borowik po desz-



Kanał węglowy w porcie gdyńskim. W głębi olbrzymie dźwigi do podnoszenia wagonów i przeładowania z nich węgla wprost na okręty

czu. Jeśli chodzi o lepsze porównanie to możnaby ją postawić obok analogicznie wybudowanego portu w Casablance (na marokańskim brzegu Afryki) nad którym praca podobnie kilka lat trwała, a przysporzyła mu, jak Gdyni, ogromnie szybko wzrastające wpływy w nawigacji.

Możemy dziś być istotnie dumni. Nasze gdyńskie „okno na świat" przedstawia teraz jeden z najlepiej urządzonych portów na Bałtyku i jest chlubnym wyrazem najnowszych zdobyczy techniki. Naród zaświadczył, że własnemi siłami dokonać może czynów na miarę Herkulesa. Nie spodziewał się stary Gdańsk, że bez niego mogą sobie dać radę Polacy. Ten sam kupiecki Gdańsk, który w dziejach Polski, tratwami, berlinkami i lichtugami ciągnął Wisłą swe zyski, a przecież nigdy chętnie nie poczuwał się do wdzięczności. Gdynia stała się jakby wyrokiem sprawiedliwości za nielojalność Gdańska, okazywaną tak w dawnych wiekach, jak i w 1920 r., kiedy to wolne miasto wzbraniało przeładowania amunicji w chwili dla wojsk polskich najcięższych, gdy nawała bolszewicka sięgała rogatek Warszawy.

Szczupłe wybrzeże morza wykorzystaliśmy w ciągu 12 lat istnienia odrodzonej Polski wsposób godny narodu i podziwu świata.

Lecz za mało go jeszcze znamy. Odnosimy się do morza z sezonowem zainteresowaniem w okresie letnim i sentymentem, jak do krajobrazu malarskiego. Pociąga nas żywot marynarzy, ich przygody, jakby z powieści Londona lub Korzeniowskiego. Nie zdążyły jeszcze w ciągu krótkiego czasu dotrzeć do umysłu społeczeństwa zagadnienia morskie w całej rozciągłości, od wiadomości historycznych do właściwych wartości ekonomicznych.

Gdy obecnie padają na zachodnie nasze granice słowne ataki polityków niemieckich zerwało się ze wszystkich ust hasło fundacji, ze składek, łodzi podwodnej, pod mianem: „W odpowiedzi Treviranusowi". Jakby odzewem na to hasło jest w bieżącej chwili ogłoszenie „Miesiąca dla Pomorza", aby społeczeństwu gruntownie przypomnieć warunki obrony i zabezpieczenia tej bezcennej, prastarej dziedziny kraju. Wszystkie pragnienia, myśli, składki i życzenia dążą ku Gdyni, na morze, iżby mu dać flotę i jeszcze jedną eskadrę hydroplanów przydać banderze polskiej.

W taką porę, kiedy uczymy się nietylko kochać, ale cenić i bronić morze, kiedy znaczenie jego stało się dziś tematem doniosłej wagi, wielkie usługi dla wiadomości każdego Polaka oddać może „Kronika o Polskiem Morzu", dzieło ostatnio wydane przez tygodnik „Polska Gospodarcza", w rocznicę dziesięciolecia zaślubin Polski z Bałtykiem.

* * *



Amerykański drapacz chmur?... Nie, to stosy tartego materjału eksportowego w Gdyni

„Kronika o polskim morzu" jest prawdziwą encyklopedją wiedzy, koniecznej do bliższego zapoznania się z dziejami walk, zwycięstw i pracy narodu, wybijającego sobie obecnie szerokie okno na świat. W szeregu monografij, troskliwie zebranych i opracowanych pod redakcją Czesława Pechego, zawarła „Kronika" wszystkie dziedziny, dotyczące historji, geografji, etnografji i literatury, związanych z wybrzeżem polskiem. Poszczególne artykuły są napisane przez znawców, a zabierają w nich głos: Min. Kwiatkowski, profesorowie: M. Siedlecki, K. Tymieniecki, E. Frankowski, R. Pollak, J. Gieysztor, M. Rybczyński, S. Pawłowski, inż. J. Rummel, dyrektor „Żeglugi Polskiej", B. Nakoniecznikoff, dyr. Urzędu Emigracyjnego, A. Siebeneichen, naczelnik Wydziału Przem. i Handlu w Gdańsku, inż. S. Łegowski dr. F. Hilchen, M. Turski dyrektor Państw. Inst. Eksport., i t. d.; wśród artykułów na tematy historji sztuki i literatury wymienić trzeba: „Dawne żeglarstwo polskie" dr. A. Czołowskiego, „Dzieje Kościoła na Pomorzu" ks. dr. T. Glemmy, „Zwyczaje ludu pomorskiego" dr. B. Stelmachowskiej, „Język pomorski" prof. Uniw. Pozn. dr. M. Rudnickiego, „Sztuka na Pomorzu" ks. kan. B. Makowskiego, „Polska marynarka wojenna" komandora ppor. R. Czeczota i t. d.

Nie sposób wymienić wszystko, co stanowi istotny skarb tej książki. W nieprzebranem źródle każdy Czytelnik czerpać może wiedzę pełnemi rękami albo też w miarę zainteresowania czy gustu, niema bowiem luki w całokształcie, zgromadzonym w tej niezwykle pożytecznej książce.

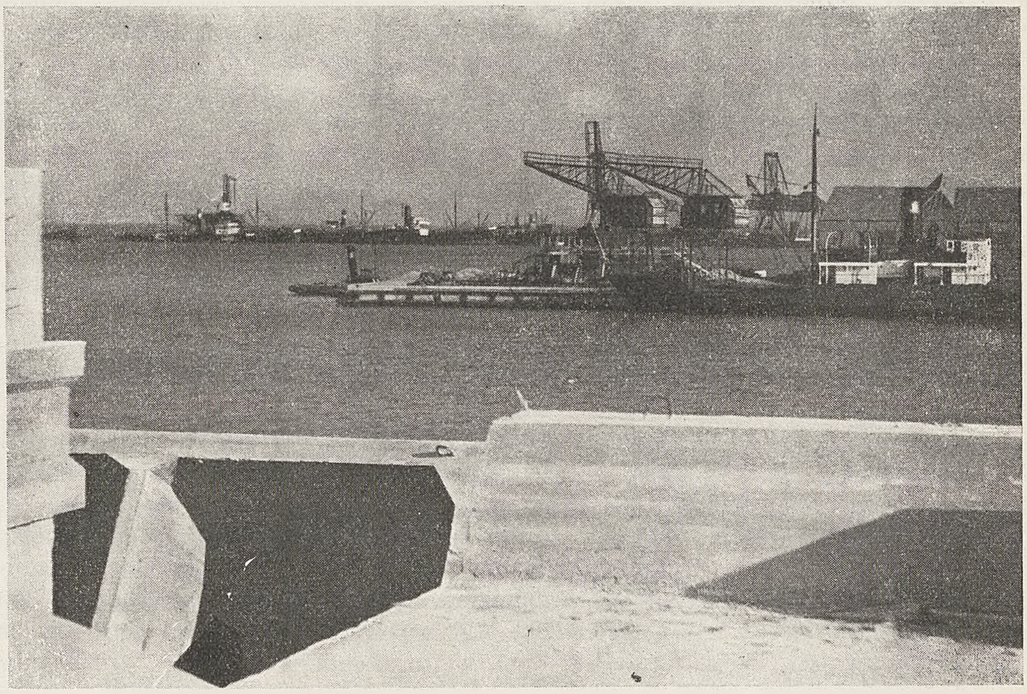
Dzieło to wydane na grubym papierze ilustracyjnym w ozdobnej okładce i obfite w zdjęcia powinno znaleźć się w księgozbiorach prywatnych obok podobnie starannie wydanych pamiątkowych edycyj o Grottgerze, Matejce czy też Chopinie; a już ze wszech miar warto tę książkę dokładnie przeczytać.

Najwyższy czas, abyśmy morze uważali za część naszej ojczyzny.

Andrzej Kaznowski

Dzieło do nabycia we wszystkich księgarniach; cena 25 zł. Polecamy je, jako piękny upominek „na gwiazdkę".

Red.



Widok na kanał i molo w Gdyni

WIKING

Słońce, krwią brocząc, padło na śniegu całuny
U nóg srebrem pancernych młodego Wikinga,
I konając, krwią swoją kreśli śmierci runy,
Którą mu wytoczyła skandynawska klinga.

Promienny Wiking — olbrzym o twarzy chłopięcej,
Spojrzał, jak żywe słońce wokół, roześmiany,
A zwyciężony widząc to, nie konał w męce —
I zaraz zabliźniły się czerwone rany.

Syk normandzkiego miecza, niby węża w trawie,
Niósł śmierć, ale radosną nawet dla pobitych,
I młody świat powstawał w zgliszcz i krwi kurzawie,
Kiedy rzymski senator legł, jak winem spity...

W śmiertelnym śnie gniótł dalej sybaryty łoże —
I padały nań róże, płynęło falerno;
A złotego Wikinga kołysało morze —
I dobijał świat stary, jak miłość niewierną!

KRWAWA LEGENDA

Złoty korab księżyca w granatową topiel
Zanurza się, jak korsarz chciwy krwi i złota,
Patrzy w jezioro Gopło z Kruszwicy Król Popiel,
Drżąc, by nie wypłynęła zbrodnicza robota.

Jakby mordu narzędzia, błyskają w jeziorze
Wyrzutami sumienia zbudzone widziadła,
Oto złotem się mienią srebrne sierpy, noże, —
Czy je śmierć pokrwawione z komory wykradła?

Nocny ogród udręczeń mordercy Popiela...
Ciała topielców płyną na wierzch, jak oliwa!
Szkliste źrenice patrzą w oczy truciciela,
W twarzy każdego stryja jest groza straszliwa....!!!

MIECZYSŁAW AL. MAKOWSKI

WIŚNIEWO

Domeczek nizki, mały,
Snać ze starych cegieł, dawno murowany
Dostojnemi rzeźbami udekorowany, —
Jesienią
Wspaniale wino na nim się opina
I błyszczy w słońcu
Cudnemi barwami,
W ogródku idą ścieżki
Równo gracowane.
Snać, że wszystko choć stare
Lecz pielęgnowane
I utrzymane w jakimś miłym stylu,
Dziwnie prostym i czystym
I jakimś swoistym, —
Nic dziwnego,
To domek
Wielkiego Artysty.

MARJA JAGMINOWA

PIES, KRÓLIK I MYŚLIWY

Cezar, wyżeł znakomity,
Lecz zbyt dumny z swego fachu,
Wytropił w norze, źle skrytej,
Królika, który prawie umierał ze strachu.
— Poddaj się! ty, niecnoto, pókiś jeszcze cały! —
Krzyknął tak, że aż wszystkie zwierzęta zadrżały.
— Jam Cezar, wśród myśliwych słynny z swego męstwa,
Głośne na całym świecie są moje zwycięstwa! —
Usłyszawszy to imię, Janek Długouchy,
Poleca Bogu duszę, pełen szczerej skruchy,
I drżącym głosem go pyta:
— Powiedz, najjaśniejszy panie,
Jeśli się poddam, co się ze mną stanie? —
— No, proszę! zginiesz i kwita! —
— Zginę? — powtórzył królik z miną nader rzewną.
— A jeśli zdołam umknąć? — Śmierć twoja jest pewną!
— Jakto? więc w każdym razie czeka mię tu zguba?
Niechże mi Wasza Wysokość wybaczy,
Że trochę inną jest moja rachuba
I zamiast czekać śmierci wolę uciec raczej.
Niechaj lepiej w polu spotka mię los srogi! —
To rzekłszy, królik bierze za pas nogi.
Katon możeby zganił czyn tak niewaleczny,
Ja go za zły nie biorę, ale za konieczny,
Bo w tejże chwili, nie chcąc rozstać się z swym łupem,
Strzelec nadbiegł, wystrzelił i... Cezar padł trupem!
Na to stary La Fontaine powiedziałby może:
„Pomagaj sobie, człecze, Bóg ci dopomoże".
I ja pod tą zasadę swój podpis położę.

Brienne, 1758 r.

NAPOLEON BONAPARTE
(Z francuskiego przełożyła Jawnuta)

DO MOJEJ MATKI

O Matko moja, na sercu mi leży,
Niewypłakany dług mojej wdzięczności;
U próchniejących w grobie twoich kości
O przebaczenie gorąco cię proszę...

Że łzy jedynie spóźnione przynoszę
Iżem nie poszedł marzeń Twoich śladem,
Że błędny ognik wciąż po świecie gonię,
Że troska o mnie poiła cię jadem,
I siwym włosem okryła Twe skronie —

Niech Ci zapłaci, czy ja wiem kto taki
Za łzę ostatnią spadłę na me lica,
Gdyś mię żegnała z śmiertelnej majaki,
Grosz wdowi wzięła mych myśli skarbnica,
Niech Ci spokojem zapłaci mogiła,
Żeś mnie swem mlekiem i chlebem karmiła.

JACEK MALCZEWSKI

Nie wielu o tem wie, że genjalny nasz malarz Jacek Malczewski pisywał również piękne poezje. Zachowały się one u jego przyjaciół w albumach. Powyższy utwór wpisał Malczewski do pamiętnika p. Dunikowskiej, a zamieszczamy go, aby przypomnieć, jak uczuciowem było serce sławnego artysty, wobec jego matki.

Można mieć słuszny żal do literatury, że tak skąpe pozostawiła wiadomości o życiu naszych wielkich zmarłych.

Polskich zbiorów wspomnień i pamiętników jest kilkaset. Święte, kamienne kroniki pielgrzymstwa i błyskotliwe notatki chwil przelotnych. Wyznania i przechwałki, skargi i paszkwile. Jedne, jakby w zaciszu starego dworu, przy szeptach i chichotach samowaru, bają przyjacielskim tonem gawędy, inne, z wojażów i salonów, zwierzają się dyskretnie, albo na głos, niby z publicznej trybuny, rzucają charakterystyczne obrazy wypadków. A nawet zdarza się, że ten i ów pamiętnikarz próbuje ukazać swe czasy na szerszem tle politycznych i kulturalnych horyzontów, z dziejowej historjozoficznej perspektywy. Ale wszystkie one chromają na te same braki. Między sylwetami wprowadzanych aktorów niema proporcji, rozróżnienia, o ile te postacie i szczegóły ich życia znaczące są i doniosłe, czy też wogóle obojętne.

Pamiętniki najobficiej posypały się w pierwszej połowie XIX wieku. W epoce wojen napoleońskich. Później, po ostatecznem załamaniu się bytu państwowego, coraz ich więcej, w epoce powstania listopadowego i długich lat emigracji. Wszędzie gdzie tułała się polska męka. Od Afryki, od Algieru, dokąd rząd Ludwika Filipa, służalczy wobec cara, deportował emigrantów, ekszołnierzy wojska, które po upadku powstania, u granic Prus, złożyło broń. Poprzez Kaukaz i Ural. Aż do wybrzeży Morza Białego, do krańców Sybiru i prowadzonych tam, wśród brzęku kajdan, carskich kopalń ołowiu.

Spisywali też swe wyrażenia i emigranci dostatni wolni. Niegdyś uczniowie gimnazjum kowieńskiego, liceum krzemienieckiego, akademji wileńskiej, uniwersytetu warszawskiego i kijowskiego. Koledzy z ławy szkolnej a następnie towarzysze doli tułaczej Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Bywalcy wieców politycznych w kawiarniach w Paryżu i Rzymie. Goście polskich domów emigranckich i życzliwych domów miejscowych. Jednak niewiele możnaby się od nich dowiedzieć.

W ówczesnych tragicznych okolicznościach praca trójcy poetów poczynała się i rwała, dorywcza, przygodna, praca wygnańców, w rozterce i włóczędze po obcych ziemiach, obcych katach. Więc może, może i niedziw, że niejedni świadkowie prac poetów, choćby pragnęli sięgnąć po zaszczyt pisania ich biografji, nie śmieli dostrajać się do oddźwięków ich psychiki.

Czy dlatego również pozostawiły tę pustkę lata niedawne, przedwczorajsze?

Niema i może już nie będzie wspomnień o Sienkiewiczu i Prusie. Nikt, jakby to skrzętnie ku pamięci i czci swych wybranych zrobili Niemcy, nie naszkicował ich zdań, ich słów, w kwestjach tych i różnych innych?

Jakaż tego milczenia przyczyna?

Nieumiejętność, tchórzostwo budowania tęczowych pomostów czucia między swemi grzędami a samotną wielkością poety, i stąd niemożność wypowiedzenia się, w tym przedmiocie, w tym razie.

Książka Wasilewskiego o Kasprowiczu i Żeromskim [1]), splot wrażeń i refleksyj, dźwięczy nutą wyjątkowej prawdy. Nietylko prawdy faktycznej, materjalnej. Wtedy, podobnie, jak w czasach porewolucyjnych, młodzi musieli kryć się przed szpiegostwem i prześladowaniem władz zaborczych. W szkołach mogli się kształcić nie w swym, lecz w obcym języku, a gdy poczęli trud swego życia, to źródłem ich sił i zdrowia, nadal, skrycie, jak za chłopięcych szkolnych dni, była im poezja.

Była im braterstwem broni, światem całym.

„Poezja", — mówi Wasilewski w „Wspomnieniach", — „odgrywała w Polsce XIX wieku wielką rolę reprezentacyjną i wychowawczą; czasem wydawało się, że ponad stan kultury umysłowej i ponad przysługujące sztuce prawo. W niej znalazła się myśl narodowa, z życia publicznego wygnana, i religja, duszę krzepiąca. Była to i sztuka i wspaniała zarazem literatura polityczna, wiążąca ducha narodowego w idealny strop nad gruzami państwa".

Drogi ich schodziły się na wspólnych polach pracy, aż po dojrzały wiek poetów, aż do ich zgonu.

Z Kasprowiczem pracował Wasilewski w redakcji dziennika, z Żeromskim w zarządzie bibljoteki. Późniejsze stosunki towarzyskie, mimo odmiennych warunków powszedniego życia i odchyleń poglądów politycznych, do końca przetrwały próbę czasu. Wszyscy trzej byli bojownikami ideałów, rycerzami błędnymi nowej krucjaty polskiej, choć niezawsze w tych samych szeregach. Wasilewski w swych „Wspomnieniach", wiedzących, rozumiejących i czujących, we wszystkiem współczuje z nimi, a czasem nie odrzeka się i humoru, żartu, ignorując śmierć, która ich zabrała. Krytyk wnika w czynniki i pierwiastki ogromu plonów obu żniwiarzy bożych, ale, gdy ich duchy nieśmiertelne wywołuje z poza progów wieczności, to wyobraźnią serca, i ukazuje je blisko i bezpośrednio, płonące rumieńcem życia.

Trudno byłoby „Wspomnienia" porównywać z jakąś inną książką.

Mamy w naszej literaturze krytycznej różne studja: poznawcze, zbrojne w wszystkie arkana metody, jak i artystyczne, mistrzowskie portrety literackie.

Książka Wasilewskiego nie jest oderwaną pracą, samą w sobie, utworem luźnym od wcześniejszych prac jego. Obok portretów psychologicznych obu poetów, jest i własnym jego pamiętnikiem, spowiedzią jego życia politycznego. Od pierwszego świtu swego zawodu pisarskiego szedł Wasilewski po drogach zbiorowej duszy polskiej. Studja krytyczne, dotyczące romantyzmu polskiego, przygotowały jego pomnikowe dzieło „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej". We wszystkiem, co pisał, zajmowała go ogólna i pozamaterjalna strona zjawisk naszego życia społecznego i z tego też stanowiska patrzył na osoby i dzieła obu poetów.

Z Kasprowiczem zżył się.
Żeromskiego podziwiał.

„Kasprowicz", — mówi, — „pierwszy wyraziciel Polski nowoczesnej... był z tych, co nadają narodowi postawę do rzutu w przyszłość. Zbudził nas z odrętwienia martyrologicznego, że wszystko, co mamy wielkiego, to zawdzięczamy przeszłości. W nim poznaliśmy, że naród jest dopiero w zaraniu życia". „Żeromski był chlubą swej generacji. ...Przez Żeromskiego mówił na nowo człowiek, gdy patrzał, jakby pierwszy raz — na przyrodę, mówił Polak, który odkrył tajemnicę krajobrazu i powietrza polskiego, mówił poeta polski... mógł błądzić w ocenach i programie, mógł nie dojść do całkowitego światopoglądu, ale nie myliła go miłość ziemi, tej nie obłąkał żaden drogowskaz".

Miłość ziemi...

Ten element czy motyw, tak samo, jak typowo romantyczna miłość ludu, były obu poetom i Wasilewskiemu wspólne i przeprowadzane bywają we „Wspomnieniach" w rozmaitych parafrazach. Z poza przejrzystych wierszy druku, gdy mowa o glebie kujawskiej, która wydała Kasprowicza, i o Tatrach, wśród których poeta u zachodu życia zamieszkał, o górach Świętokrzyskich i puszczy jodłowej, kolebce natchnień Żeromskiego, — przezierają promieniejące świeżością krajobrazy i atmosfera polskiej ziemi historycznej, z jej bujną mocą rodzącą.

Rozprawa o poezji sama staje się poezją.

Możnaby mniemać, że to Tatry wydały Kasprowiczowskie hymny i liryki, że nie Żeromski, ale ukochana przezeń puszcza, góry i wreszcie otchłanie morza wydały jego powieści.

Twórczość artystyczna widziana przez pryzmat użyteczności narodowej.

Wasilewski pisze z pasją. Zawsze na najwyższej, godnej tematu, skali myślowej i z wibrującą pełnią stylu.

Nie przemijający był wpływ morza na Żeromskiego.

„W dziele... „Wiatr od morza", — pisze Wasilewski, — „Żeromski jest poetą przyszłości, historykiem, który spostrzegł, że „wierna rzeka", na którą puszczamy nasze tratwy, wypływa z przeszłości, że nowe życie wyrasta na grobach, które przeto są zawsze żywe i stanowią jego glebę... Artysta wziął w rękę piasek Pomorza i przywrócił mu postać granitu".

Na Pomorzu, na Helu, spotkał Żeromskiego po raz ostatni.

Niespokojna linja wybrzeża, nakreślona w książce kilku kreskami, marzy się rzeczywista, a zarazem ułudna, jak obraz snu. Szum fal morskich rozbrzmiewa przy ostatniem widzeniu się z poetą i jest ostatniem pożegnaniem lat minionych bezpowrotnie.

Antoni Wysocki

---

[1]) Zygmunt Wasilewski „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim". Warszawa, 1927. Nakład Gebethnera i Wolffa.

COŚ DLA PAŃ

OZDABIAJMY NASZE SIEDZIBY LEŚNE

Znam Was dobrze, chociaż nie wszystkie zbliska. Wiem, że przedstawiacie w swej osobie nieraz eleganckie, śliczne istoty, ze stolicy, z zaciszy dworów, z przeróżnych środowisk inteligencji i starej kultury, przeniesione dziś do stanic leśnych. Widzę Was w obrębie Waszych gospodarstw, w obrębie dużych trosk i małych poczynań, w obrębie Waszych domów.

A że, pisze dziś do Was, to dlatego, że pragnę, byśmy nasze „leśne życie" upiększyły. Jest bowiem tego potrzeba.

Nasi mężowie oddani służbie borów, obciążeni troską o przyszłość lasów, słowem „mężczyźni, którzy na niepraktyczną estetykę nie mają czasu" — nie ozdabiają naszych domów!... Ta strona życia pozostaje niemal wyłącznie w naszych rękach.

Nasze domy, do których na odpoczynek po odpowiedzialnej pracy wracają mężowie, — nic tak pięknie nie ustroi, nic tak dekoracyjnie i reprezentacyjnie nie ozdobi, jak... kwiaty. Strójmy zatem nasze domy, — siejmy, sadźmy kwiaty, moje śliczne Panie. Postanówmy to teraz, gdy jest zima martwa, gdy jest często szaro i brzydko; w ten sposób przygotujemy swe chęci na wiosenną kampanję! Zamówmy w styczniu nasiona, i flance, wymarzmy plan ogródka, gazonów, a skoro pierwszy świt wiosny nastanie, weźmiemy się do pracy! Wykonamy wszystko zręcznie i wdzięcznie przy pomocy służby i własnych wymanicurowanych rączek, których wszak oszczędzać dla kwiatów niewolno.

Lubię serdecznie osiedla leśne romantycznie rzucone między lasami, nieraz ładne i stylowe, ale w 75% nieozdobione. To wina nas, kobiet, urodzonych artystek dekoratywu.

Siejmy więc zwykłe trawy na gazonach, hodujmy pelargonje i nasturcje pnące, zwykłe, niekosztowne, banalne kwiaty - plamy, które zużytkować można jednak miło i niebanalnie. A przedewszystkiem pamiętajmy o tem, że praca leśnika - hodowcy jest dla przyszłości, ścieżka zaś towarzyszki jego musi biec równolegle z jego życiem.

Hodujmy więc kwiaty i szerzmy kult kwiatów między młodszą leśną bracią, a zostawimy po sobie uszlachetniający ślad!

Władze mogą przenosić służbowo naszych mężów, rzucać ich w dalekie pustkowia leśne, wszędzie jednak powędruje z nami radość życia, jeżeli rozścielimy przed wnijściem do domu kwietny kobieżec i zieleń rzucimy na próg.

Ale musimy czynić praktycznie, celowo. Dowiedzmy się o własnych talentach. Zobowiążmy się. Musimy na terenie każdej poszczególnej Dyrekcji L. P. założyć szkółki kwiatów, bylin, by mieć bliską i tanią dostawę. P. P. Nadleśniczowie z całą pewnością otrzymać mogą skromny kredyt na założenie takiej szkółki krzewów, którą poprowadzi zresztą każda z nas chętna do pracy.

Początek takiej szkółce dał już w N-ctwie Białowieskiem p. inż. Błażewicz, skąd wprost za grosze można otrzymać krzewy. (Wstydźmy się, Panie, pan Błażewicz jest mężczyzną!).

Proszę więc Was: Ozdabiajmy nasze siedziby leśne, i dzielmy się wiadomościami na ten temat w „Echach Leśnych".

Ela Tomaszewska
N-ctwo Oszczepskie

„ŚWIAT KOBIECY"

Pod powyższym tytułem wychodzi we Lwowie dwutygodnik, doskonale redagowany przez pp. Konstancję Hojnacką i Wandę Tomaszewską. Zarówno dobór artykułów, jak i wykwintna szata zewnętrzna stawia czasopismo to na wysokim poziomie estetyzmu. Jakby bogata wstęga marzeń, przewija się przed oczyma Czytelniczki piękny, kolorowy przegląd najświeższych mód kobiecych, wśród których możnaby się dopatrzeć niejednej sukni ...na gwiazdkę. Panowie mężowie chyba nie będą mieli nic przeciwko temu, że ich żony zechcą same dokonać wyboru „gwiazdkowej" sukni.

Prócz obfitego przeglądu mód nr. 23 „Świata Kobiecego" przynosi szereg ciekawych artykułów, jak: „Ploteczki o modzie" (Cailler - Sobańskiej), „Z higjeny i kultury ciała" (Efeba), wzruszający artykuł o Polakach w Legji Cudzoziemskiej, „Droga do Polski" (H. Filochowskiej), „Udział kobiet polskich w odrodzeniu Pomorza" (I. W. Kosmowskiej), „Jak ubierać choinkę" (W. Richard) i t. d. Redakcja „Świata Kobiecego", Lwów, Chorążczyzny 27.

Z. I.

LIST OD CZYTELNICZKI

Radzi jesteśmy, że „Echa Leśne" mają wiele zagorzałych Czytelniczek. Jedna z nich pisze nam:

— „Interesuję się żywo kącikiem w „Echach Leśnych" p. t. „Coś dla Pań" i sądzę, że dobrzeby było, aby dział ten rozszerzyć, a nawet zilustrować. Każda pani domu, dbająca o wygląd salonu w swem rodzinnem gniazdku nie sprzątnie ze stolika książek i czasopism gdyż uważa je za duchową ozdobę pokoju godną uwagi gości, przybyłych z wizytą.

Roczniki „Ech Leśnych" daję do oprawy i sama je zresztą często przeglądam, gdyż miło mi nieraz odświeżyć sobie w pamięci, zawarte w nich piękne artykuły i ilustracje. Będę uważała za pewnego rodzaju dowód wzajemnej pamięci Redakcji o nas Czytelniczkach, gdy „Echa Leśne" zaprowadzą stały dział dla Pań, choćby na jednej kolumnie".

Stefanja Kwapińska

Ależ owszem, łaskawa Pani, chętnie to uczynimy.

Zwracamy się przeto do wszystkich naszych Pań Czytelniczek z prośbą o łaskawe nadsyłanie nam korespondencji, artykulików i dzielenie się z naszą Redakcją aktualnemi wiadomościami do działu „Coś dla Pań".

Redakcja



Oświetlenie Kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie

WSZYSTKIE BOHATERKI POWIEŚCI Z IMIONAMI NA „A"

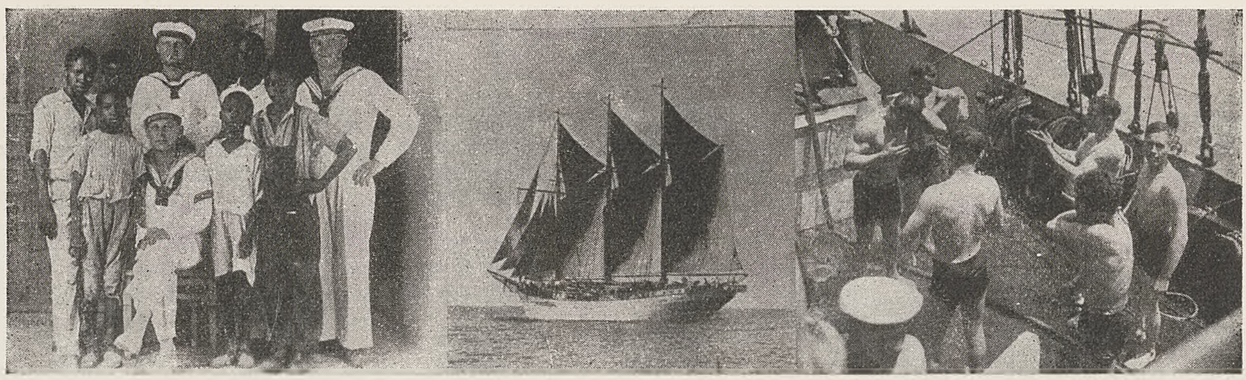
Znany pisarz fancuski, Pierre Benoit posiada dość oryginalny zwyczaj: oto wszystkim bohaterkom swych powieści nadaje imiona na jedną i tę samą literę, mianowicie na „A". Bohaterką „Atlantydy" jest Antinea, „Kenigsmarku" — Aurora, „Don Karlosa" — Allegra, „Słonego Jeziora" — Annabela „Studni Jakóba" — Agar, — „Drogi Olbrzymów" — Antilone, wreszcie Alberta i Aksela są bohaterkami powieści pod takimiż tytułami.

ORYGINALNE NAZWY SUKIEN

W Londynie odbył się niedawno pokaz najnowszych kreacji mody paryskiej, przeważnie sukien wieczorowych, balowych i strojnych wizytowych. Konferencjerką była jedna z popularnych aktorek, a osobliwością tego pokazu były nietylko przepyszne stroje o bajkowych cenach, ale również o niezwykłych nazwach. Najwięcej powodzenia miały suknie o nazwach, jak: „Sen nocy letniej", (suknia dekoltowana z wzorzystej żorżety), „Zapytaj papy", „Pocałuj mnie prędko", „Gretna Green" i t. p.

KOBIETY JAKO DETEKTYWI

W londyńskim Scotland Yardzie już w najbliższej przyszłości nastąpi zasadnicza zmiana: prezydent policji, lord Bing of Vimy ma zamiar zatrudnić kobiety w roli detektywów. Będzie to narazie próba, w kołach miarodajnych nie wątpią jednak, że wypadnie ona pomyślnie. Żeńscy detektywi mają przedewszystkiem za zadanie interwenjować w tych wypadkach, gdy popełnione zostało przestępstwo przeciw kobiecie, będą one jednak używane i w wypadkach innych, przyczem kładzie się nacisk na wyzyskanie zdolności, które są specyficzną właściwością kobiety. Równocześnie ma być podwojona liczba kobiecej policji mundurowej która otrzyma... ładniejsze umundurowanie.



Fragmenty z ostatniej podróży żaglowca szkolnego „Iskra” do wyspy Kuby

Z MIESIĄCA

W STOLICY I KRAJU

Wynik wyborów do Sejmu. Okres przedwyborczy wypełniony był rzucaniem na siebie wzajemnie kalumji przez wrogie partje polityczne i agitacją przedwyborczą. Ostatecznie wybory minęły szczęśliwie i zakończyły się zwycięstwem Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, na czele którego stanął Marszałek Józef Piłsudski. Blok Bezpartyjny otrzymał z list okręgowych 203 mandatów i z listy państwowej 45 mandatów, — razem 248. Resztę mandatów otrzymali: Stronnictwo Narodowe (endecja) — 64; Centrolew (lista Nr. 7) — 79; Blok ukraińsko-białoruski (lista Nr. 11) — 21; Chrześcijańska Demokracja (lista Nr. 19) — 14; Żydzi (listy Nr. 14, 17 i 18) ogółem — 7; komuniści (lista Nr. 22) — 4 i Niemcy (lista Nr. 12) — 5; na listy lokalne: Nr. 22 w Cieszynie i Nr. 23 w Łukowie padło po jednym mandacie.

Wybory odbyły się naogół spokojnie. W stolicy, z powodu bójek z okazji wyborów pogotowie opatrzyło 52 osoby ranne i pobite, nie jest to jednak bynajmniej dużo, jak na stolicę, każda bowiem „sucha” niedziela daje w stolicy znacznie obfitsze pokłosie. W niektórych miejscowościach zwolennicy listy Nr. 1, głosowali jawnie, nie ukrywając kartki z numerem listy.

Wybory do Senatu dały następujące wyniki: Bezpartyjny Blok (Nr. 1) — 76 mandatów; Stronnictwo Narodowe — 12; Centrolew — 14; Blok ukraińsko-białoruski — 4; Niemcy — 3; Chrześcijańska Demokracja — 2.

Wybory do sejmu śląskiego. Wybory te dały następujące wyniki: Sanacja — 19 mandatów; Katolicki blok ludowy — 19: Niemcy — 7 mandatów; Socjaliści niemieccy — 2; socjaliści polscy — 1 mandat.

Refleksje wyborcze. Wynik wyborów jest nader korzystny z dwuch przyczyn. Państwo Polskie wychodzi nareszcie z przewlekłego, a niewątpliwie nader szkodliwego okresu wewnętrznych walk politycznych przez utworzenie w Sejmie i Senacie większości, która będzie z Rządem współpracować. Teraz musi nastąpić realna i rzetelna praca, której przeżywający ciężki kryzys gospodarczy kraj bardzo potrzebuje. Drugiem pocieszającem zjawiskiem jest zmniejszenie się liczby mandatów mniejszości narodowych, a szczególnie Niemców. Ogólna liczba niemieckich mandatów — 5 jest najlepszą odpowiedzią na niemieckie brednie Trevinarusa. Prasa niemiecka jest oczywiście mocno niezadowolona z wyniku wyborów i stara się wykazać, że stronnictwo Marszałka Piłsudskiego odniosło zwycięstwo tylko dzięki naciskowi wyborczemu. Zwycięstwo to, uważa prasa niemiecka za niezupełne, nie daje ono bowiem możności zmiany konstytucji. Również zmniejszenie się liczby mandatów niemieckich przypisuje prasa niemiecka „atmosferze przymusu” w jakiej odbywały się wybory. Ich zdaniem Niemcy stracili mandaty, lecz nie stracili głosów. „Vossische Zeitung”, a za nim szereg innych dzienników wyraża przypuszczenie, że wynik wyborów przyczyni się do wzmożenia aktywności polityki zagranicznej Polski, a to z powodu zwiększenia się elementu nacjonalistycznego w Sejmie i z powodu militaryzmu Marszałka Piłsudskiego. „Berliner Tageblatt” pisze, że wybory będą stanowiły definitywne rozstrzygnięcie dyktatury przeciwko parlamentaryzmowi, nie dadzą jednak żadnego rozwiązania i nie przyniosą żadnej zmiany w Polsce, ani żadnej stabilizacji. W jednem jest prasa niemiecka zgodna zarówno ze sobą jak i z rzeczywistością, twierdzi bowiem, że wynik wyborów będzie poważnym atutem w rękach Polski przeciwko rewizjonistycznym dążeniom Niemiec. Prasa francuska przeszła naogół do porządku dziennego nad wynikami wyborów, ograniczając się jedynie do podania cyfrowych danych. Jedynie „Temps” stwierdza niewątpliwy sukces Rządu polskiego, chociaż system wyborczy (reprezentacja proporcjonalna) mało nadaje się do wywrócenia już zdobytych pozycyj. Prasa angielska podaje objektywne wiadomości o przebiegu wyborów w Polsce, tylko germanofilski „Manchester Guardian”, w dwuch artykułach zionących nienawiścią do Polski, informuje swych czytelników o rzekomych rozruchach wyborczych w całej Polsce. Czesi interesowali się ogromnie wyborami w Polsce. Organ ministra spraw zagranicznych „Prager Presse”, wysłał do Polski na czas wyborów specjalnego korespondenta. Cała prasa czechosłowacka podkreśla zwycięstwo Bloku rządowego i dotkliwą porażkę mniejszości niemieckiej, co przypisuje narodowej konsolidacji w Polsce i przemożnemu autorytetowi Marszałka Piłsudskiego, który okazał się czynnikiem decydującym przy wypowiedzeniu się społeczeństwa.

Po wyborach ustały aresztowania b. posłów. „Oddział poselski” w Brześciu nad Bugiem uległ likwidacji, a posłów przewieziono do więzień w okręgach tych sądów, które prowadzą przeciwko nim sprawy. W stosunku do wielu posłów środek zapobiegawczy złagodzono i zwolniono ich za kaucją. Między innymi dr. Kiernik został zwolniony za kaucją 10.000 zł., którą wyasygnowała Rada Adwokacka.

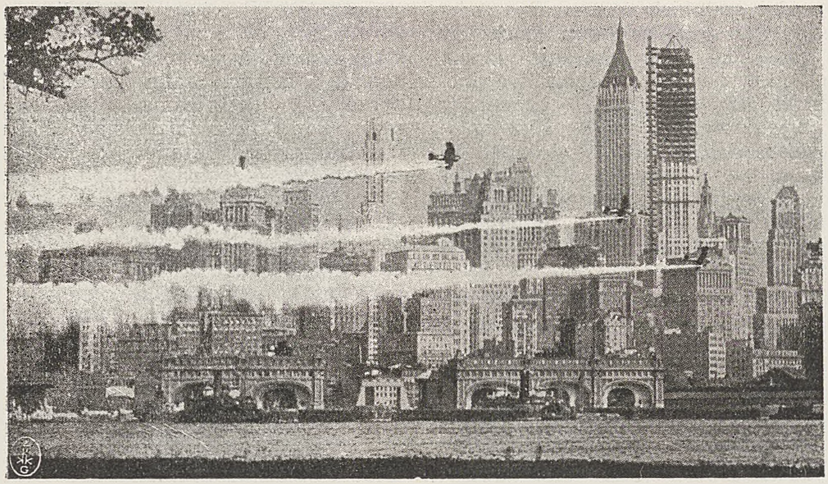
W Małopolsce wschodniej fala aktów sabotażowych osłabła. Zdarzają się jednak jeszcze sporadyczne wypadki sabotażu. W okolicy Komorowej na terenie powiatu sokalskiego podpalono 6 stert zboża, z których 3 spłonęły, powodując szkodę 14 tysięcy zł. Po przeprowadzeniu dochodzeń aresztowano 5 członków ukraińskiej organizacji wojskowej, którzy przyznali się do winy. W Drohobyczu, decyzją kuratorjum lwowskiego zamknięto prywatne gimnazjum ruskie z powodu antypaństwowej działalności, jaką uprawiali uczniowie tego gimnazjum wraz z kierownikiem gimnazjum, dyrektorem Kuźniczem, który od kilku tygodni przebywa w więzieniu w Samborze, za działalność antypaństwową.

Ukraińcy, katolicy i prawosławni, przebywający w Rzymie, wystosowali do Ojca św. list z prośbą o zwrócenie się do Rządu polskiego, aby zaprzestał stosować represji w Małopolsce wschodniej. Represje te — według twierdzenia autorów listu — przyczyniają się do wzrostu propagandy bolszewickiej wśród ludności Małopolski wschodniej.

Głos rozsądku. Głos emigracji ukraińskiej „Tryzub” ogłasza artykuł o stosunkach polsko - ukraińskich. Organ ten ostrzega przed demagogami, którzy, wyzyskując pożałowania godne wypadki w Małopolsce wschodniej, pragną prowadzić szkodliwą dla interesów narodowych ukraińskich agitację przeciwko porozumieniu polsko - ukraińskiemu. „Tryzub” stwierdza, że jedynem zadaniem emigracji ukraińskiej jest walka o wyzwolenie Ukrainy z pod jarzma moskiewskiego, a w tej walce naród ukraiński winien szukać porozumienia ze wszystkimi państwami zachodu, które jedynie mogą zrozumieć szkodliwość odnowienia wielkiej, niepodzielnej Rosji. Rozdźwięk lub tarcia Ukraińców z temi państwami mogą przynieść dla ukraińskiej sprawy narodowej tylko skutki ujemne, jak to zresztą było w 1919 r.

W Warszawie stanął pomnik „Dowborczyków”. Pomnik skromny, a nader wymowny przedstawia żołnierza - Dowborczyka, stojącego na cokole z obnażoną, wzniesioną do góry szablą. Postać żoł-

Z E Ś W I A T A



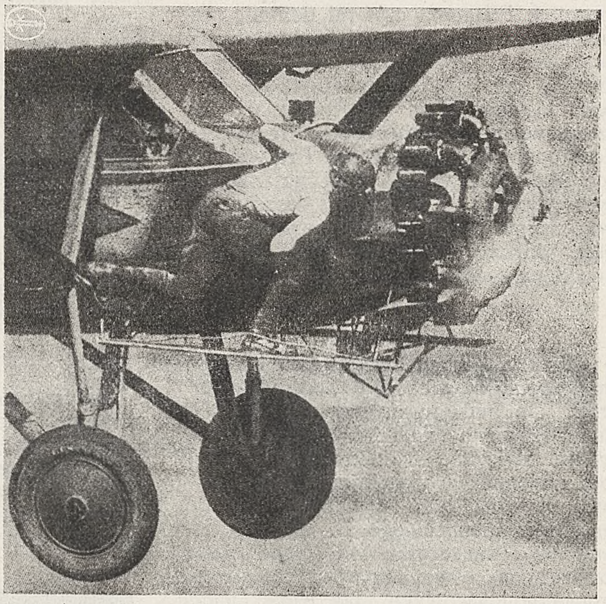
Manewry samolotów wojskowych nad N. Yorkiem. Dla celów ochronnych aeroplany otaczają sławne drapacze chmur zasłoną dymną



W listopadzie odbyła się koronacja cesarza Abisynji, Ras Tafariego Makonnen'a



Intymna rozmowa premjera Anglji Mac Donalda z Benett'em, premjerem Kanady



Bracia Hunter dokonali w Chicago lotu, trwającego 553 godz. 41 min. bez lądowania. Materjałów pędnych i pożywienia dostarczano lotnikom w powietrzu z drugiego samolotu. Na zdjęciu K. Hunter opuszcza swą kabinę, aby sprawdzić silnik



Rodzinny obrazek w Sowietach. Robotnik i jego żona w obozie przysposobienia wojskowego.



Oto jak się przedstawiają „rozbrojone Niemcy"... Podczas zjazdu „Stahlhelmu" w Koblencji, wzięło udział sto tysięcy żołnierzy z pocztami chorągwianemi

nierza, zapatrzona na wschód, zda się mówić, że czuwa bacznie i gotów jest do obrony wschodnich rubieży Rzeczypospolitej.

Rząd polski nadesłał do zbiorów sekretarjatu Ligi Narodów dwa pamiątkowe medale: srebrny i bronzowy. Na medalach, noszących datę: wrzesień 1926 r. widnieje napis łaciński: „Polska po ciężkiem półtorawieczu niewoli, powołana przy sprzyjającem stanowisku innych narodów do — niepodległego bytu, wchodzi do Rady Ligi Narodów na mocy najwyższego prawa sprawiedliwości, aby nikogo nie krzywdzić i aby nikt jej nie skrzywdził".

Ministerjum komunikacji zarządziło, aby na obszarze całego państwa wszystkie pociągi pasażerskie odjeżdżały ze stacyj bez jakichkolwiek sygnałów dźwiękowych.

Dnia 11 listopada naród święcił rocznicę odzyskania niepodległości. W Warszawie, na polu mokotowskiem była odprawiona Msza polowa, a następnie p. Marszałek Piłsudski odebrał defiladę oddziałów wojskowych, przysposobienia wojskowego i policji państwowej. Po południu w sali Filharmonji odbyła się uroczysta Akademja, a wieczorem galowe przedstawienie w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej. Następnie Prezydent i Jego Małżonka wydali raut na Zamku. Mimo wichury i ulewnego deszczu na rewji wojsk były obecne tłumy publiczności, które wznosiły entuzjastyczne okrzyki na cześć Marszałka Piłsudskiego.

NIEMCY

Niemcy, którzy domagają się rozbrojenia mocarstw, nie chcą zacząć tego od siebie. Do budżetu na rok 1931/32 została wstawiona suma 34.700.000 mk. na wydatki związane z budową niemieckiej floty wojennej. Największą pozycję stanowi pierwsza rata na budowę nowego pancernika niemieckiego B. Zamiar budowy tego pancernika był swego czasu przedmiotem ostrej krytyki ze strony stronnictw lewicowych. Jak widać, ministrowi Groenerowi udało się przeforsować budowę tego pancernika. Będzie to obok pancernika A, który ma być spuszczony na wodę w czerwcu przyszłego roku, druga najpotężniejsza jednostka niemieckiej floty wojennej.

Jenerał Ludendorf wydał zbiór swych artykułów przeciwko wojnie niemiecko-francuskiej. Ludendorf przestrzega, że obecnie położenie Niemiec doprowadziłoby w razie nowej wojny do zniszczenia Niemiec.

Treviranus znów bredzi o rewizji granic. Mówiąc o Pomorzu twierdzi, że ten kraj był niemieckim i pozostanie niemieckim. (?!) A wynik wyborów panie Treviranus?! Gabinet Rzeszy Niemieckiej postanowił podwyższyć cła na pszenicę i żyto. Nadto mają być sprowadzone przymusowe zarządzenia, co do konsumpcji jęczmienia, kukurydzy i produktów zwierzęcych. Podwyżka ceł, wprowadzona będzie natychmiast na podstawie pełnomocnictw jakie posiada gabinet Rzeszy.

Rząd niemiecki prowadzi akcję redukcji płac robotniczych. Z tego powodu gazeta „Welt am Abend" występuje ostro przeciwko „obłudnej" polityce rządu kanclerza Brueninga, który mimo katastrofalnej sytuacji finansowej Niemiec i mimo nędzy szerokich mas przeznacza w budżecie 1931 r. 50 miljonów marek na nowe zbrojenia, a jednocześnie skreśla 228 miljonów na ubezpieczenia socjalne.

Prasa nacjonalistyczna popadła w istną furję szału z powodu skazania w Grudziądzu Niemca, Fudego, za szpiegostwo. Prasa ta nawołuje, aby rząd niemiecki nie wymieniał zakładnika polskiego komisarza Biedrzyckiego, wciągniętego swego czasu w zasadzkę — za Niemca, Fudego.

Wielkie zaniepokojenie rozbudową portu w Gdyni. Niemcy dopatrują się w tem niebezpieczeństwa gospodarczego i politycznego i nie chcą w to uwierzyć, że Polska zdobyła się na taki akt woli. Dochodzą nawet do fantastycznego wniosku, że nie Polska lecz Francja buduje Gdynię dla własnych celów politycznych przy pomocy sił robotniczych duńskich i holenderskich.

W Babimoście, na pograniczu Marchji Wschodniej odbyło się poświęcenie nowej szkoły polskiej. Jest to 50-ta z rzędu szkoła polska w Niemczech i powstała dzięki staraniom polsko-katolickiego Towarzystwa Szkolnego.

Tym razem w kopalni w Maybach wydarzyła się znów wielka katastrofa. W czasie kiedy pod ziemią znajdowało się około 90 górników, nastąpił wybuch gazów. Liczba ofiar przewyższa 100 osób. Katastrofa wywołała bardzo przygnębiające wrażenie tembardziej, że wydarzyła się właśnie w dzień pogrzebu 262 ofiar katastrofy kopalnianej w Alsdorfie, kiedy całe Niemcy były pogrążone w żałobie.

SOWIETY

W Sowietach wre, jak kotle. W armji czerwonej daje się zauważyć coraz silniejszy ferment. Skierowany on jest przeciwko polityce Stalina. Między Stalinem a t. zw. stowarzyszeniem starych bolszewików i weteranów ruchu komunistycznego powstał konflikt. Przedstawiciele starych bolszewików przedłożyli Stalinowi rozpaczliwy stan gospodarczy i rozkład, ogarniający większość organizacyj komunistycznych. Stalin panicznie boi się puczu wojennego i zamachu na swoje życie. Obawy te znalazły silny oddźwięk w mianowaniu na stanowisko komendanta Moskwy — Tałuna. Przed nominacją Stalin przyjął na Kremlu na dłuższej konferencji Tałuna, i dał mu instrukcję, że głównym obowiązkiem komendanta jest czuwanie, aby pewna część garnizonu wojennego Moskwy znajdowała się w stałem pogotowiu wojennem z powodu możliwiści rozruchów. Podobno wykryto spisek przeciwko Stalinowi, na czele którego stał Syrcow i były zwolennik Trockiego, Łominadze.

„Politbiuro", udzieliło premjerowi rządu sowieckiego, Rykowi, dymisji. Wysłany on został na przymusowy jednomiesięczny urlop, — równający się zesłaniu, — do jednego z miasteczek nad Wołgą. Pozostaje to w związku z wykryciem spisku, dywizji czerwonego sztandaru, która podczas defilady w dn. 7 listopada z okazji rocznicy rewolucji, miała aresztować Stalina, Kaganowicza, Mołotowa i innych wybitnych zwolenników Stalina oraz ogłosić dyktaturę wojenną na czele z dyktatorem, którego przewodniczącym miał być Rykow.

Na Kaukazie panuje silne wrzenie. W Gruzji wymordowano 16 komunistów. Chłopi podpalają komuny rolne — takie oto wiadomości przynosi niemal codziennie prasa. W Jekaterynodarze G. P. U. rozstrzelało księży katolickich Rota i Wolfa.

Bolszewicy ograniczyli przerwę obiadową dla robotników do 15 minut. Zarządzenie to, mające na celu podniesienie wydajności pracy robotnika spotkało się z ostrym sprzeciwem robotników.

Kryzys wywołany pięcioletnim planem przybrał zastraszające rozmiary. Emisja papierowych pieniędzy wzrosła do trzech miljardów dziewięciuset miljonów rubli. Kierownicy finansów sowieckich, nie chcąc brać odpowiedzialności za dalszą inflację ustąpili ze swych stanowisk. Aby ratować sytuację wstrzymano wypłatę płac robotnikom i urzędnikom.

W Charkowie, Kijowie i Odesie pojawiły się bandy dzieci bezdomnych. Władze sowieckie założyły około 400 przytułków, w których znalazło pomieszczenie 50.000 takich dzieci bezdomnych. Mimo to pokazują się w miastach bandy dzieci bezdomnych, a władze są w walce z tem zjawiskiem bezsilne. Dzieci bezdomnych jest na Ukrainie około 600 tysięcy. Oto do czego doprowadziło rozbicie i zniszczenie przez bolszewików podstawowej komórki ładu społecznego, jaką jest rodzina!...

Władze chińskie aresztowały czekistę, Ropczawskiego. Miał on pod przybranem nazwiskiem Lemana brać czynny udział w porwaniu jenerała Kutiepowa.

Przez szereg dni opinja publiczna Europy była zaniepokojona przerwaniem komunikacji telefonicznej i telegraficznej z Rosją Sowiecką i pogłoskami o wybuchu rewolucji w Rosji. Ostatecznie sytuacja wyjaśniła się. Władze rosyjskie przeczą kategorycznie, jakoby w Sowietach miały miejsce jakieś rozruchy, a przerwanie komunikacji przypisują wpływom atmosferycznym. Niemniej jednak, wykryto w Moskwie szeroko zakreślone



Zmarły niedawno gen. łotewski Piotr Radzinsz był wiernym przyjacielem Polski, a mundur jego ozdobił krzyż „Virtuti militari"



Olbrzym i malec... Dwaj plutonowi z Grudziądza (wzrost 1.94 m. i 1.54 m.) są serdecznymi przyjaciółmi



Odsłonięcie pomnika Dowborczyków w Warszawie, na Wybrzeżu Kościuszkowskiem

sprzymierzenie przeciwko Stalinowi i jego klice. Dowodzą tego aresztowania sztabowych oficerów armji czerwonej, liczne zmiany na stanowiskach dowódców, oraz zmiany na stanowiskach rządowych pism sowieckich.

Stalin zdołał pozyskać dla swoich planów dowódcę armji czerwonej, Woroszyłowa. Uchodzi on teraz za główną podporę kierunku Stalina.

LITWA

Litewskie ministerjum spraw wewnętrznych opracowuje projekt ustawy w sprawie kazań wygłaszanych w kościołach. Ustawa zakreśla granice tematów, które mogą być poruszane w kazaniach i ma na celu uniemożliwienie księżom poruszania tematów politycznych.

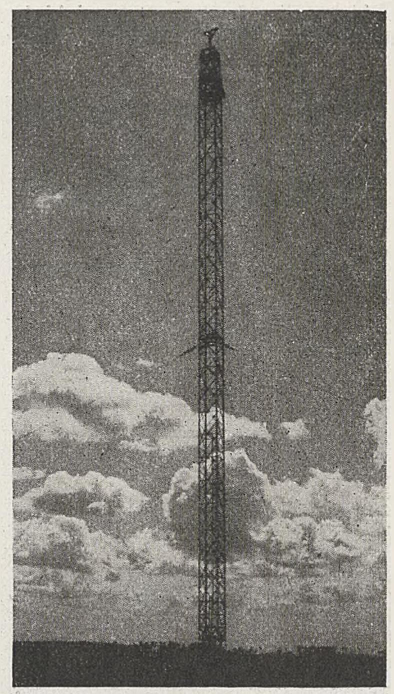
W Kownie wywołał wielkie wrażenie list pasterski biskupów litewskich głoszony z ambon. List ten omawia prześladowanie przez rząd litewski społecznych organizacyj katolickich i występuje ostro przeciw rządowi.

Waldemarasowi wytoczono podobno śledztwo o fałszerstwo dokumentów stanu cywilnego. Jest on oskarżony o to, że nie będąc żonatym zażądał od podległych mu urzędników wpisania osoby, z którą zamieszkiwał do swego paszportu, jako żony.

WŁOCHY

Mussolini wygłosił z okazji uroczystości faszystowskich mowę, mającą — jego zdaniem — zerwać maskę z oblicza tej obłudnej Europy, która zbroi się, a rozprawia wciąż o rozbrojeniu. Mussolini przyznał, że Włochy prowadzą politykę rewizji traktatów i oświadczył, że twierdzenie jakoby traktaty były nienaruszalne, jest nonsensem. Mówiąc o zbrojeniach sąsiadów Musolini mocno pobrzękiwał szabelką. Mowa ta wywarła jak najfatalniejsze wrażenie. Nawet Niemcy (Teodor Wolf na łamach „Berliner Tageblatu") nazywają Mussoliniego „hojnym z cudzej kieszeni" i zauważają ironicznie, że Mussolini, mógłby na początek zwrócić Niemcom Tyrol. Niemcy uważają tę mowę za pociągnięcie polityczne i zdają sobie sprawę z tego, że o ile Włochy przez zawarcie sojuszu mogą uzyskać pewne koncesje od Francji, to Niemcy mogliby cel swój osiągnąć tylko przez jednoczesne wplątanie się w wojnę z Francją, Polską i Jugosławją, co byłoby szaleństwem 10-krotnie większem niż w 1914 r.

W okolicach Semigalji dało się odczuć silne trzęsienie ziemi. Wiele domów zostało uszkodzonych. Trzy osoby poniosły śmierć, a około 80 zostało rannych.



Budowana obecnie polska stacja radjowa pod Raszynem należy do największych w Europie

HISZPANJA

Sytuacja w Hiszpanji jest naprężona. Robotnicy rozpoczęli strajk i zamierzali wywołać powstanie, jak za czasów dyktatury Primo de Rivery. Ulicami Barcelony przechodziły pochody strajkujących i studentów z okrzykami: „Niech żyje republika!" W Madrycie robotnicy usiłowali przeszkodzić dowozowi żywności do miasta. W wielu wypadkach przyszło do starcia policji z tłumem. Wskutek rozruchów strajkowych jest wielu rannych i zabitych.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Rewolucja w Brazylji została zakończona. Prezydent Vargas wypowiedział się za liberalnym systemem rządów, ukaraniem winnych nadużyć, zniesieniem zawodowych polityków i reformą skarbowości oraz przepisów urzędniczych. Idea dobrowolnej daniny, celem uzdrowienia finansów spotkała się z uznaniem społeczeństwa.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przeżywają ostry kryzys gospodarczy. W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy zlikwidowano w Stanach Zjednoczonych przeszło 600 banków.

W Utice odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika Kazimierza Pułaskiego, zbudowanego drogą składek publicznych. Na uroczystości byli obecni przedstawiciele konsulatów polskich w Nowym Jorku i Buffalo, oraz reprezentanci wszystkich wielkich organizacyj polskich.

We Francji w Lugdunie wydarzyła się wielka katastrofa spowodowana obsunięciem się góry. Katastrofa pociągnęła za sobą kilkadziesiąt ofiar.

W Japonji dokonano zamachu na życie premjera japońskiego Hamaguczi'ego. Zamachu dokonał 23-letni urzędnik prefektury w Nagasaki Sagoya, członek pewnej organizacji nacjonalistycznej. Pragnął on zgładzić premjera, który — jego zdaniem — jest odpowiedzialny za obecną ciężką sytuację gospodarczą kraju.

Esbe



Gajowy - laureat, Tadeusz Bura



Leśnicy dbają o ochronę kraju bo wpajają w swe dzieci idee i obowiązki przysposobienia wojskowego

LEŚNICY W „ODPOWIEDZI TREVIRANUSOWI"

Żyjemy obecnie pod hasłem „M i e s i ą c d l a P o m o r z a", które to hasło przenika do serc całego społeczeństwa. Sypią się datki, składki i ofiary, będące najlepszym wyrazem obywatelskich uczuć, żywionych dla prastarej pomorskiej dzielnicy i naszej troski o jej wybrzeże, oraz o Gdynię, perłę Bałtyku. W odpowiedzi na ataki Treviranusa, godzące w całość zachodnich granic Polski, wszyscy składają pieniężne datki na łódź podwodną, która otrzyma symboliczną nazwę: „W odpowiedzi Treviranusowi".

Obecnie mija już trzeci miesiąc gdy na łamach „Ech Leśnych" donosimy o łańcuchu składek, zebranych również wśród naszych Czytelników, brać leśną, na ufundowanie łodzi podwodnej.

Ogłaszamy poniżej piękny w swej myśli list, otrzymany przez naszą Redakcję, wierząc, że będzie on wzorem godnem naśladownictwa przez inne Koła Leśników:

„Na zebraniu członków Koła miejscowego Leśników w Lubichowie, pow. Starogard, obejmującego N-wa Lubichowo, Wirty i Drewniaczki, uchwalono dn. 12.X. b. r. jednogłośnie przeznaczyć na budowę łodzi podwodnej pod mianem „Odpowiedź Trevinarusowi" — 1% poborów za miesiąc listopad i grudzień b. r. od wszystkich członków tut. Koła Leśników i jednocześnie wezwać do podobnego opodatkowania się na cel powyższy Członków Koła Leśników w Toruniu. Zebraną kwotę 52 zł. 60 gr. za listopad przesyłamy przez Zarząd Oddziału Leśników w Toruniu do Sz. Redakcji „Ech Leśnych".

Piotrowski prezes

Od ostatniego sprawozdania zamieszczonego w nr. 11-ym łańcuch składek znacznie się powiększył. Na łódź podwodną otrzymaliśmy następujące kwoty:— od pracowników w Nadleśnictwie Snochowice — 33.50 zł.; z N-ctwa Jednia — 91.10 zł; z N-ctwa Chylonja — 60 zł; z N-ctwa Lubichowo — 29 zł. (ponowna składka).

Razem, do chwili zamknięcia n-ru 12 wpłynęło do „Ech Leśnych" na cel łodzi podwodnej łącznie — 547 zł. 95 gr. *Red*

GAJOWY — LAUREAT

W konkursie „Ech Leśnych" został nagrodzony gaj. Tadeusz Bura (Oddz. Wileński Z. Z. L.) za gorliwą służbę na swem stanowisku.

RADJO O MYŚLISTWIE

Dnia 25-tego grudnia radjostacja poznańska nada feljeton na temat polowań zimowych, który wygłosi przed mikrofonem znany naszym Czytelnikom literat, Aleksander Janta - Połczyński.

Warszawska rozgłośnia poświęci łowiectwu swój kwadrans feljetonowy w dniu 27-mego grudnia. Prelegent, p. Aleksander Janta - Połczyński będzie mówił na temat: „Biały Sezon Myśliwych".



Ś. p. Felicja Grzegorzewska

Ś. P. FELICJA GRZEGORZEWSKA

W dniu 14 listopada r. b. zakończyła życie w Warszawie, w wieku lat 82 ś. p. Felicja Grzegorzewska, matka Dyrektora Poznańskiej Dyrekcji Lasów Państwowych p. Władysława Grzegorzewskiego. Kto znał tę zacną, pełną szlachetności staruszkę, o zadziwiająco szerokim i niezmiernie żywym umyśle, o sercu otwartem na wszelką ludzką niedolę, głęboką patrjotkę, której życie znaczyły najlepsze cnoty i uczynki obywatelskie — ten z prawdziwym bólem oddawał Jej ostatnią posługę i rzucał grudkę ziemi na kryjącą ją mogiłę na Powązkach.

Pochodząca z rodzinnego majątku Bohdanowo, powiatu rossieńskiego na Żmudzi, wychowana starannie w polskich zakładach naukowych w Kurlandji, a następnie w Wilnie — ś. p. Zmarła wyrosła w świeżych jeszcze tradycjach ruchu nawym zawsze pozostawała wierną. Obdarzona niezwykłą pamięcią — była do końca życia wierną kroniką ludzi i wydarzeń w świecie polityki, kultury ducha, literatury i sztuki.

Wielka ilość osób, biorących udział w żałobnym kondukcie, masy kwiecia, mimo późnej jesieni i wieńców, były widomym znakiem żalu, jaki pozostawiła po sobie.

Prócz Dyrektora Grzegorzewskiego, zmarła osierociła dwie córki, Profesorową - inżynierową Wandę Pożaryską, Dyrektorkę Państw. Instytutu Nauczycielskiego, D-ra Marję Grzegorzewską, znaną zaszczytnie z prac naukowych w kraju i zagranicą i dwóch synów Witolda i Zenona, pułkownika - lekarza w Grodnie.

L. Ch.

SPROSTOWANIE

W poprzednim n-rze, w ciekawym artykule W. Czarneckiego p. t. „Największe skupienie olszyny na Polesiu", prostujemy dwa błędy drukarskie:

Str. 4, szp. 1, wiersz 14 od góry — zamiast „kubelski", winno być — „Rubelski".

Str. 4, szp. 3, wiersz 14 od dołu — zamiast „odkorowanie" ma być — „odnowienie". *Red.*

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH

TEATR POLSKI

„Noc Listopadowa", St. Wyspiańskiego. Reżyserja St. Wysockiej.

Po paru nieudanych próbach wystawienia Wyspiańskiego w Warszawie, każde nowe w tym kierunku przedsięwzięcie napełnia lękiem, że pamięci genjalnego artysty znów się wyświadczy przysługę iście niedźwiedzią. Jeżeli tym razem premjery „Nocy Listopadowej" można było oczekiwać bez obaw lecz przeciwnie z radosnem zainteresowaniem, zawdzięczamy to powierzeniu reżyserji jedynej bodaj artystce, mogącej się z tego zadania wywiązać w całej pełni, p. Wysockiej. Przedstawienie raczej przewyższyło oczekiwania.

Nietylko nie można porównywać innych przedstawień sztuk Wyspiańskiego w Warszawie, której się zarzuca zupełny brak tradycji pod tym względem, lecz musi mu ustąpić „Noc Listopadowa" krakowska, którą oglądałem na parę lat przed wojną. Nazwisko Wysockiej już pozwalało się domyślać zasadniczego ujęcia reżyserskich problemów. Wiedziało się z góry, że się ujrzy sztukę zasadniczo odrealizowaną. Niechęć Wysockiej do wszelkiej zewnętrznej teatralności, jej głęboki kult dla poezji sprawia równocześnie, że aktor musi dać z siebie maksimum tego, co potrafi. Sztuka reżyserowana przez Wysocką jest doskonałym sprawdzianem talentów. Trzeba przyznać, że zespół szyfmanowski stanął na wysokości zadania. Pewne zarzuty możnaby tylko mieć, co do wykonania ilustracji muzycznej L. Marczewskiego. Słyszeliśmy ją w lepszej produkcji. Wpłynęła prawdopodobnie na to choroba autora, która nie pozwoliła mu osobiście pokierować próbami.

ATENEUM

„Ulica", sztuka w trzech aktach Elmera L. Rice'a, przełożył St. Standé, reżyserował S. Jaracz.

Powojenna publicystyka woła o nowe wytyczne kultury duchowej i moralnej; teatr przedstawia nam — niejednokrotnie jaskrawo - tragiczne konflikty między żywą dzisiejszością, a skostniałemi formułkami dnia wczorajszego, w których człowiek współczesny już nie może się pomieścić. Przedewszystkiem, człowiek pragnący mieć jakieś zasady etyczne nie od przypadku do przypadku, kanalja ludzka krzewi się bowiem wszędzie i włazi w każdą formę przekonań politycznych, religijnych, moralnych.

Ulica... Nie ulica wytwornych willi i pałacyków, osłoniętych przezornie przed spojrzeniem obcych oczu, lecz ulica proletarjackiej dzielnicy amerykańskiego miasta, ulica czynszowych domów, zamieszkałych przez ludność robotniczą, gdzie życie każdego mieszkańca staje się wspólną własnością całego domu. Wszyscy w niem mogą grzebać dowoli wyciągać na pokaz ulicy cudze brudy, by własne stokroć ohydniejsze nieraz za niemi ukryć. Taki dom ukazuje nam w swej sztuce Rice. Przypadek kazał w nim zamieszkać ludziom różnych zawodów i różnych narodowości. Rodzina Moranów jest nam bezwątpienia najsympatyczniejsza. Frank Moran, maszynista teatralny jest typem zasadniczo dodatnim. Człowiek uczciwy, starający się o pewne niewzruszalne zasady moralności w życiu i ich zachowanie, sumiennie spełnia obowiązki, jakie życie nań nałożyło. Idzie on tą drogą, jaką szli jego ojciec i dziad — uczciwi ludzie. Ciężką pracą zarabia na życie, grosza nie trwoni, dzieci wychowuje i kształci przyzwoicie w miarę swych finansowych środków, żona napewno ma zawsze na przyodziewek i głodu nigdy nie zaznała. Lecz tu dla Morana kończą się już obowiązki. Serdeczność swą w stosunku do żony i dzieci ogranicza do zarabiania na ich codzienne materjalne potrzeby. Pozatem żadnych nici wewnętrznych łączących go z rodziną. Pani Moran, zacności kobieta. Widzimy ją, jak noc całą spędza przy porodzie sąsiadki, jak się troszczy o chorą, niby o rodzoną córkę. Tyle uczucia potrafi okazać innym w potrzebie, że widać, jak wiele posiada go sama, lecz i od innych go potrzebuje. Tego głodu serca nie potrafił zaspokoić szorstki i właściwie nie interesujący się żoną, Moran. Poszła za głosem serca i obdarzyła uczuciem indywiduum nieszkodliwe zresztą, jakąś życiową ciamajdę, do której napewno nie zmysły ją wiodły lecz głód miłości. Kamienica zawrzała oburzeniem. Rej wodzi pani Jones. Charakterystyczna bardzo cała ta rodzina Jonesów. Dumnie obnosi sztandar swych zasad moralnych. Jak tam było w młodości z panią Jones — nie wiemy. Widzimy ją w wieku, nadającym się do stateczności już nieprzykrej; zjadliwą śliną plotki opluwa zato wszystkich naokół. Węszy romans porządnej dziewczyny, jak Róża Moran, kiedy równocześnie własna jej córka włóczy się po tajnych barach i spędza noce w hotelu z przygodnemi kochankami. Pobłażliwie patrzy na ordynarne zalecanki swego synalka względem tej samej Róży i nie protestuje wcale kiedy ten drągal w jej oczach znęca się nad słabym, młodym chłopcem, który śmiał zareagować na obrazę Róży. Ta rodzina rzuca pierwsza hasło ukamienowania biednej Moran. Aluzje pani Jones tak natrętnie otwierają oczy Moranowi, że szczuty ciągłemi przygadywkami, podniecony alkoholem, którym zalewał ohydne podejrzenia, wraca umyślnie wcześniej do domu.

Zdławiony krzyk przerażenia... huk wystrzałów... w oknie miga twarz wykrzywiona skurczem agonji. Plotka uliczna zbiera swoje żniwo — dwa trupy. Wkrótce będzie trzeci — Morana, którego czeka elektryczne krzesło. I zostaje dwoje sierot. Róża idzie w świat pracować na siebie i brata, złamana, zniechęcona, czująca paniczny lęk do małżeństwa, boć to jest instytucja, która pozbawiła ją rodziców. Czy jednak winną tu instytucja, czy jonesowskie jej pojmowanie? Kanalja ludzka triumfuje upostaciowana w osobie pani Jones, która sumiennie spędziła pół dnia w komisarjacie i niewątpliwie zrobiła wszystko, by Moran poniósł karę jakiej się domaga jej obrażone morderstwem poczucie moralności.

Reżyserja Jaracza świetna. O grze niema nawet co mówić; inną być nie mogła. Drabikówna znacznie lepsza niż w „Zemście". Zespół tak liczny że trudno wszystkich wyliczać, a o każdym należałoby wyrazić się z uznaniem.

TEATR MAŁY

„Lekarz bezdomny" komedja w 3-ch aktach A. Słonimskiego, reżyserja K. Borowskiego.

Komedja Słonimskiego jest potwierdzeniem zdania, że kanalja ludzka świetnie się mieści w formułkach każdej partji politycznej. Profesor Werner ma dwóch synów: nacjonalistę Stefana i komunistę Jerzego. Obaj wałkonie skończeni, żyjący z pracy ojca, obaj pełni tanich wiecowych frazesów. Antagonizm między braćmi jest pozorny; jednoczy ich głęboki egoizm, obłuda, brak zasadniczych uczuć humanitarnych i chciwość pieniędzy, a raczej zależnego od nich używania życia. W domu profesora odkryto rzekomego Rembrandta. Obraz, ściśle biorąc, nie jest ich własnością, zostawił go ewakuowany generał rosyjski. Synalkowie postanawiają obraz sprzedać. Tymczasem lokaj kradnie obraz, a podejrzenie młodych Wernerów pada na Bogu ducha winną służącą, która sterała swoje lata w służbie profesora. Bracia maltretują zdziecinniałą staruszkę i wreszcie każą mimo protestów ojca aresztować biedaczkę.

Tymczasem obraz okazał się marną kopją, niewartą paru złotych. Posażna jedynaczka z którą był zaręczony Stefan poznawszy bliżej charakter swego przyszłego męża zrywa z nim i prawdopodobnie wyjdzie za mąż za profesora, który dość mając synalków opuszcza dom. Główna teza utworu zda się nie wystarczała pióru dowcipnego pisarza. Jego złośliwość wyładowała się jeszcze w szeregu dygresyj na naszą biurokrację, uniwersyteckie autorytety i t. p. Szkoda tylko że wrodzone skłonności do satyry nie zostały ujęte bardziej w cugle.

MORSKIE OKO

„Morskie Oko" już nietylko olśniewa wspaniałemi inscenizacjami zawsze melodyjnych piosenek, lecz podniosło obecnie w znacznej mierze poziom występów solowych i sketchów. Niewątpliwie należy to zawdzięczać pozyskaniu tak wybitnych sił, jak Zula Pogorzelska i Krukowski, którzy są ulubieńcami Warszawy. Produkcje ich wysuwają się na czoło obecnego programu. Zula stworzyła świetny typ Gizelli Chyś, dzięki zaś Krukowskiemu sketch „Małżeństwo niewykluczone" nabrał werwy komicznej. Tytuł programu usprawiedliwiony jest nieprzeciętną, nawet jak na „Morskie Oko", inscenizacją piosenki Własta „Arizona"; optyczny efekt złotych wodospadów niezrównany. Tuzin girls pod doświadczonem kierownictwem Woycieszki doskonały: bodajby inne rewje miały takie solistki, jak ten zespół. Szkoda tylko, że dla tancerki wielkiej miary jak Ela Antoszówna, którą aż dziwno, że nam dotąd zagranica nie porwała, nie znalazło się w obecnym programie dość sposobności do rozwinięcia jej wszystkich możliwości.

Stefan Essmanowski

WESOŁY WIECZÓR

Grunt to flota! Woła tytuł ostatniej rewji „Wesołego Wieczoru”. Znana to teza filozofji niejednego obywatela wielkiego miasta, tak bardzo aktualna zwłaszcza wtedy, kiedy się ma „węża w kieszeni”. Ale są przecież i tacy, co twierdzą, że np.: grunt to dobre zakończenie i że wogóle wiele jest „gruntów”, zależnie od okoliczności i indywidualnych upodobań. Skoro jednak tak a nie inaczej chce głośny już ze swej wesołości teatr rewjowy, nie ma tedy powodu, aby w powagę i autorytatywność takiego sądu wątpić. Pozostawałoby tylko zobaczyć i posłuchać, w jaki to też szczególny sposób potrafi „Wesoły wieczór” tego dowieść. Ano więc idą sceptycy, idą i przekonani, i jeszcze wielu, wielu innych, ot, by się poprostu mile pośmiać i zabawić. A gdy zobaczą o co tu naprawdę chodzi, gdy ujrzą wspaniały, piękny okręt morski, a na pokładzie jego — dziarskich marynarzy, z piosenką na ustach:

„Płynie flota, nasza flota
Gwiazda złota niech prowadzi ją,
Płynie flota nasza flota
Maszty dumnie na pokładzie
tkwią...”.

...wszyscy są naraz przekonani i wiedzą już, że istotnie: grunt to flota i biją nieskończone brawa i nagle uprzytamniają sobie, (poniektórzy), że to przecież mamy obecnie w Polsce „Miesiąc Pomorza.”

Miła to niespodzianka dla widza — taki arcyprzyjemny i sympatyczny numer programu, a zawiera on jeszcze i inny obraz z tegoż cyklu patrjotycznego, przyjmowany przez publiczność tu z łezką, tam na wesoło, a gdzieindziej znów z cieniem zadumy. Sprawcami tych wrażeń są „Ołowiani żołnierze” i ich przepiękne piosenki żołnierskie, tchnące czarem munduru, odgłosem trąbki, dymem biwaków, urokiem wypraw wojennych i... przygód miłosnych.

Resztę programu uzupełnia dwadzieścia blizko obrazów, w ładnej szacie dekoracyjnej pomysłu p. Galewskiej. Zbierają w nich zasłużone oklaski znani już z poprzednich sprawozdań artyści. A więc: wdzięcznoglose L. Messal, i T. Gabrielli, gibka Halama, ujmujące Kraszewska i Żelichowska, bardzo miłe Niemirzanka i Nowicka. Dalej zawsze pyszny Skonieczny — z arcyzabawnem swojem: „Tyy... opryszek tyy”... dzielnie sekundujący mu Horski, sympatyczny Klimaszewski, wszechstronny Macherski, mili Dzięciołowski, Krzewiński, Leliwa i smętny Rentgen. Wreszcie znakomity baletmistrz Parnell oraz jego partnerzy Słupski i Trzcianka w gronie 14 mniej lub więcej pięknych girls.

Całość obecnego programu, starannie urozmaicona, odbiega od szablonu i dlatego wszystkim się podoba. A i conferencierka, tym razem zręcznie pomyślana, cieszy się powodzeniem, z wyjątkiem chyba pewnego djalogu, żywcem zapożyczonego od sfer kuchennych z wytwornego rynku Kercelego. Słowem wszystko idzie jak z bata, którym, choć silnie mrugając, tak dzielnie włada p. Klimaszewski, i tylko strzały na scenie, w obrazie: „Jedź na Santa - Fe”, wciągają mimowoli do akcji Bogu ducha winną płeć piękną na sali, jakoże nerwy białogłowskie są cieńsze od postronków. Na pociechę niech się dowiedzą, że i płeć brzydka sporo napsuła sobie krwi, będąc zmuszona patrzeć na ową „Przygodę nocną”, na ową rozszeptaną kanapę i ów taki szczery dech tamujący, negliż. *L. Prz.*



Fryderyk Jarossy, świetny conferencier teatrzyku „Qui pro Quo” jest zarazem autorem ciekawej powieści p. t. „Mumje”, jaka ostatnio ukazała się na rynku księgarskim

WŚRÓD KSIĄŻEK

DLA NASZYCH DZIECI NA „GWIAZDKĘ”

Najpożyteczniejszym podarunkiem dla dziecka jest dobra książka. Wychowuje bowiem ona, naucza i rozbudza dziecięcą wyobraźnię, przynosząc w osnowie złudnej bajki posiew wartościowych myśli, — ów morał, sentencję i szlachetny idealizm, który w późniejszem życiu człowieka wydaje szlachetne owoce i dojrzewa w czynach. Pamiętamy niemal wszystkie książki, przeczytane ongiś w dzieciństwie i cenimy je, jako pierwsze pożywne źródło wiedzy. Żadna potem lektura nie budziła w nas tylu natchnień, radości i zachwytu. Książka, przyniesiona przez „aniołka” i złożona u stóp zapalonej choinki pod drewnianym krzyżem na wiązce siana nabierała i nabiera zawsze znaczenia świętości nadziemskiej. I dziś będzie wyrazem najlepszych życzeń, żywionych dla dziecka przez kochanych rodziców, którzy zaoszczędzone pieniądze przemienią w ten istotnie „anielski” podarunek.

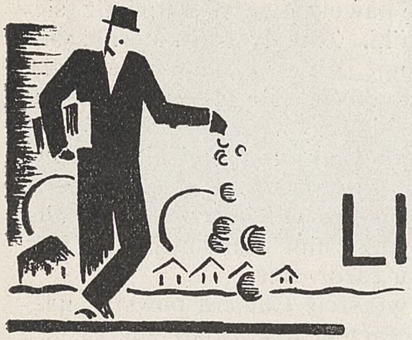
To też z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia i planów podarunkowych godzi się przypomnieć wszystkim rodzicom rynek księgarski i piękne edycje „gwiazdkowe”, aby skierować ich kroki po zakupy raczej do księgarni niż do straganów z świecidłami i słodyczami. Jest w księgarniach w czem wybierać, więc dla pomocy wymienię najciekawsze wydania, zasługujące na wyróżnienie, tak ze względu na staranność szaty zewnętrznej jak i na treść i wartość utworów.

Przoduje w tego rodzaju książkach gwiazdkowych przedewszystkiem zasłużona firma wydawnicza M. Arcta. Jej katalog jest obfity, a książeczki są przystosowane umiejętnie dla wszystkich okresów dziecięcego rozwoju umysłowego. Prawdziwą perłą w tej lekturze jest zawsze czarująca opowieść *M. Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”*. Utwór ten ukazał się znów w świeżem wydaniu z pięknemi obrazkami; nie mniejszą sławą cieszą się zawsze *„Takie sobie bajeczki” R. Kiplinga,* na wszystkie języki europejskie przetłomaczone. Spolszczył je T. Wyrzykowski (2 tom. 6 zł. 80 gr.). Wesołe te historyjki o zwierzętach i ich przeżyciach doskonale działają na wnikliwość dziecka, a przytem dobrze uczą. Jedna z tych dowcipnych opowiastek podaje n. p. o powstaniu abecadła i napisaniu pierwszego listu, — czyż to nie zachęci dziecko do poznania czytania i pisania? Świetna bajka *A. Mickiewicza p. t. „Pani Twardowska”* doczekała się również pięknego wydania u M. Arcta. Dziewięć obrazków i mnóstwo winiet ilustruje zabawne tarapaty pana Twardowskiego z djabłem. Czytając tę powabnie wydaną książeczkę dziecku, da mu się możność wczesnego poznania uroku poezji Mickiewicza (cena 3 zł.). Opowiadanie *Buyno - Arctowej p. t. „Czar - baba”* przedstawia znów dzieje mądrej gospodyni Kacprowej, intrygi chytrego Niemczyka Wilemka i losy biednej sierotki Martynki. Utwór osnuty na tle ludowem odznacza się dużem zrozumieniem i wczuciem w dolę i niedolę wiejską (cena 6 zł.). Dla mniejszych dzieci trzeba polecić *„Dziecięcy światek”*, dobry wybór wierszyków *Or-Ota* z licznemi rysunkami W. Romeykówny (cena 3 zł.) oraz opowiadanie *A. Janowskiego p. t. „Nasz plac”* o uciesznych przygodach „dzieci ulicy”, które w swoim placu zabaw znajdują krainę pożytecznych, a wartościowych wiadomości. Wierszowana powiastka o *„Kopciuszku” J. Porazińskiej* (wydawnictwo „Nasza Księgarnia”) jest dobrą przeróbką znanej bajki na polski motyw z ilustracjami S. Babińskiego. Jedną z książek nieśmiertelnych, którą zawsze z głębokiem przejęciem czytać będą małe dzieci, są *„Przygody Dziadka do orzechów”* wydane przez lwowskie wyd. B. Połonieckiego. Dla starszych posiada dużo ciekawych książek wyd. „Nasza Księgarnia”. Wśród nich zdobyła sobie duże powodzenie pouczająca historja o przygodach i spostrzeżeniach *„Żoka zagranicą” S. Baczyńskiej* (cena 4 zł. 50 gr.).

Z wydawnictw M. Arcta dla młodzieży wymienić należy jeszcze ozdobny zbiór wierszy *M. Konopnickiej p. t. „W domu i świecie”* ilustrowany przez A. Gawińskiego (cena 4 zł.). *„Złota Elżunia” E. Marlitt*, jako powieść dla dziewcząt cieszy się nadal wielką poczytnością. Obecnie ukazała się już w czwartem ilustr. wydaniu (cena 6 zł.). Powieść *„Perły księżniczki Maji” M. Buyno-Arctowej,* to bajka — niebajka o świetlanej księżniczce, żyjącej dla słonecznego piękna w życiu oraz o perłach rodzinnych, przynoszących nieszczęście; 13 rys. A. Gawińskiego zdobi tę interesującą książkę (cena 8 zł). *„Życie dla Ojczyzny” W. Gomulickiego* wyszło już w czwartem wydaniu z rys. St. Bagińskiego (cena 8 zł.). Bohaterowie tej powieści dla młodzieży, są młodzi kasztelanice, którzy dokonują pięknych czynów patrjotycznych w czasach powstania Kościuszkowskiego.

Na szczególniejsze wyróżnienie zasługują *„Podania o starożytnych półbogach i bohaterach Greków i Rzymian”*, zbiór przystępnie opracowanych mitów starożytnych według Oskara Hey'a (z ilust. kolor., cena 11 zł). *J. S.*

JERZY MARJUSZ TAYLOR



POŻYCZKA LIGI NARODÓW



3)

Rys. J K. Jastrz

III.

Rada zebrała się w pełnym składzie i wysłuchała w milczeniu przemówienia burmistrza, który wyłuszczył ojcom miasta po raz drugi szczegóły opowiedziane już każdemu zosobna. Zakończył, wymieniając cele, na które możnaby zużytkować łaskawie ofiarowaną Rykowicom przez Ligę Narodów pożyczkę.

Pierwszy zabrał głos zgryźliwy jak zwykle aptekarz.

— Ja protestuję — oświadczył kategorycznie. — Uważam, że nie powinniśmy się zadłużać. Elektryczności zresztą wcale nie potrzebujemy. Nie wyschły jeszcze źródła nafty w Borysławiu. Wątpię też, czy z ułożeniem chodników zniknie błoto. Deszcz przecież zawsze będzie padał. Nie. Sądzę, że niczego nam nie brakuje.

— Jakto nie brakuje? — oburzył się radny Weisblatt, bogaty właściciel młyna i dwóch kamienic w rynku. — Może panu prowizorowi nic nie brakuje. Mnie owszem. Innym też. Pożyczka jest nam bardzo potrzebna. Mogę zaraz wymienić kilku właścicieli domów, którzy chętnie reflektowaliby na większe sumy tytułem pożyczki z pożyczki. Zapłaciliby nawet procent. Ojoj!

— Protestuję — zaczął aptekarz, ale przerwano mu zaraz. Większość radnych powstała przeciwko projektowi pana Weisblatta, i przewodniczący w żaden sposób nie mógł uciszyć wrzawy, choć w braku dzwonka, walił bez przerwy pięścią w stół.

Burmistrz dopiero zdołał przekrzyczeć wszystkich, wołając:

— Sambym się na to nie zgodził. Pożyczka musi pójść na dobro całej gminy, nie zaś dopomagać do wzbogacenia poszczególnym obywatelom. Wiecie wszak dobrze, co mam na myśli.

— Ale ja nie zgadzam się na myśl pana, bo ją znam — wrzeszczał Chmara. — Nie chcę by gmina zadłużała się na odbudowę starych zamków. Nie pozwolę na takie bzdury. Raczej przychylę się do wniosku pana Weisblatta.

Lecz właściciel młyna spostrzegł się nagle. Chmara chce zapewne zbudować nowy hotel. On zaś sam był współwłaścicielem jednego z zajazdów, z którego ciągnął niemałe zyski, nie pragnąc wcale wzmożenia się konkurencji. Oświadczył więc zaraz, że nie czas jeszcze na podział pożyczki. Gdy pieniądze znajdą się już w kasie magistrackiej, wówczas łatwiej będzie powziąć postanowienie.

Słowa te podziałały, niby oliwa, wylana na fale wzburzone morza. Obrady potoczyły się już w tempie spokojniejszem i pióro pana Poskrobko, pisarza magistratu, a jednocześnie sekretarza rady miejskiej, skrzypiało równo, notując przemówienia. Obradowali jednak bardzo długo i na zegarze wieży kościoła biła już godzina dziesiąta, kiedy pan Poskrobko zapisał słowa, które miały zapoczątkować nową erę w historji miasta:

„Rada miasta Rykowic postanawia przyjąć pożyczkę Ligi Narodów w wysokości 5.000 funtów angielskich".

A wpisawszy ową uchwałę pan Poskrobko uśmiechnął się tak dziwnie, że zastanowiło to nawet samego prezesa rady, który przyjrzał się baczniej sekretarzowi, ale nie zrobił mu żadnej uwagi, czego powodem była zapewne spóźniona pora.

IV.

Pani Weronika, leżąc już w łóżku, wysłuchała cierpliwie relacji męża, ale nie podzielała bynajmniej jego zachwytów nad zaciągniętą pożyczką.

— To i cóż, — mówiła, poprawiając sobie poduszki. — Nam, mój drogi, nic z tego nie przyjdzie. Że niby ulice wybrukują, że zaprowadzą elektryczność i wodę? Żyliśmy tak długo bez tego, możemy żyć i nadal.

Pan Florjan zniecierpliwił się. Żona nie mogła ogarnąć kobiecym swym umysłem widoków, jakie stwarzały dla nich Rykowice nowe, uporządkowane, korzystające w pełni z dobrodziejstw kultury.

— To bardzo proste — rzekł. — Przyjedzie więcej ludzi i...

— Drugiego hotelu jednak chyba nie zbudujesz— odparła z uporem. — A ten i teraz jest zawsze pełny.

— Ale restauracja nigdy nie bywa pełna, a wtedy będzie. Rozumiesz? — tłumaczył. — Możemy zresztą przerobić jeszcze oficynę. Będą nowe pokoje. Jak myślisz? — spojrzał uważniej na żonę i teraz dopiero zauważył jak bardzo ma zmartwiony wyraz twarzy.

— Bój się Boga, kobieto! — zawołał. — Czy ci co dolega?

— Pewnie, że dolega! — wybuchnęła nagle. — Gniewa mnie ten Anglik. Czy ty wiesz, że on już zaleca się do naszej Dusi? Zauważyłam to przed południem jeszcze. Ciągle chodzili razem po ogrodzie. A wieczorem Magda, kucharka, powiedziała mi, że się całowali. Podpatrzyła ich, przechodząc koło altany, tej co to w przeszłym roku kazałeś postawić w bzach. Nie chciałam budzić dziewczyny, bo już spała, ale dam ja jej jutro, dam, że popamięta.

Popatrzyła na męża i zdziwiła się, widząc, że jej słowa nie wywarły na nim oczekiwanego wrażenia. Na okrągłej twarzy pana Florjana wcale nie znać było gniewu.

— A tybyś wolała może dla Dusi tego Poskrobko? — spytał.

— A może. Poskrobko nie bałamucił dziewczyny — zawołała gniewnie. — Prosił przecież o jej rękę. Uczciwie chciał się żenić. Żałuję, żeś mu odmówił z miejsca. Byłaby już teraz mężatką.

Teraz pan Florjan przemówił, cedząc każdy wyraz zosobna.

— A co powiesz, jeśli Dusia zostanie żoną lorda?

Pani Weronika zaniemówiła nagle, wlepiając w męża zdumiony wzrok. Uśmiechał się tylko poczciwie, ale ona czuła, że powiedział prawdę. Tak. To było już zupełnie jak w bajce. Jęknęła cichutko i z oczu jej trysnęły łzy.

V.

W Rykowicach wrzało niby w ulu. Nic dziwnego. Mieli o czem mówić ludziska. Najstarsi obywatele miasteczka nie pamiętali roku, w którym zdarzyłoby się w ciągu trzech dni zrzędu tyle nadzwyczajnych wypadków. Serję ich rozpoczęło pojawienie się na bruku rykowickim wysokiego dygnitarza zagranicznego. Fakt ten zaćmiła z kolei wiadomość o niezwykłej szczodrobliwości Ligi Narodów. Wśród części kupieckiej ludności Rykowic, skłonnej do przesadzania, krążyły zgoła fantastyczne pogłoski o wysokości pożyczki. Mówiono tam również, że Liga Narodów ma zamiar wziąć Rykowice pod swój bezpośredni zwierzchni nadzór, co było wprost zdumiewające. Ale nawet stos funtów angielskich był niczem wobec następnej wiadomości, jaka spadła na miasto nieoczekiwanie. Oto lord Walter zaręczył się z Dusią Chmarówną.

Jakże wydziwiały nad tem oszałamiającem zdarzeniem wszystkie przekupki w rynku, a jak wzdychały stateczne gospodynie, rostkliwiające się nad przyszłem szczęściem młodej pary, skojarzonej, jak mówiły przez sam los, który zawsze sprzyjał Chmarze. I jak boleśnie odczuł ten wypadek pan Poskrobko, pisarz magistratu. O, znienawidził on od pierwszego wejrzenia tego eleganckiego cudzoziemca, który przybył do Rykowic, jako zwiastun i poprzednik złotego deszczu. Poczuł doń odrazu dziwną niechęć, która w ciągu następnego dnia zmieniła się w podejrzenie, a wreszcie w żądzę zemsty. Poprzysiągł ją Anglikowi pan Poskrobko i wykonał, ratując jednocześnie zagrożony honor miasta. I było to zdarzenie czwartą, ale największą może niespodzianką, jaka spotkała Rykowiczan w ciągu tego krótkiego, ale brzemiennego w wypadki okresu.

Stało się to podczas wielkiego obiadu, jaki pan Florjan Chmara wydał z okazji zaręczyn swej jedynaczki. Mnóstwo gości przybyło na tę uroczystość, a jeszcze więcej ciekawych wałęsało się przed hotelem, zaglądając przez okna do wspaniale przystrojonej kwieciem sali restauracyjnej.

Nie brakowało przy stole ani jednego z dostojników miejskich. Odżyły bowiem tego wieczora w Rykowicach sławne tradycje renesansowej uczty Wierzynka. Prezes rady rozmawiał wesoło z panią aptekarzową. Prowizor flirtował lekkomyślnie z żoną bogatego młynarza. Rozkrochmalił się nawet poważny burmistrz, siedzący obok pani Weroniki. Znikały szybko wnoszone raz po raz przez dwie tęgie dziewoje smakowite dania, dźwięczały kieliszki i butelki, wesoło rozbrzmiewał pogwar rozmowy, podsycanej soczystemi anegdotami gościnnego gospodarza. Pan Chmara promieniał szczęściem. Piękna karjera jego została uwieńczona wspaniałą koroną chwały, widocznej wszystkim, namacalnej niemal. Siedział przecież przy nim znakomity zięć, którego wszyscy musieli mu zazdrościć.

W pewnej chwili wreszcie Chmara powstał, uderzając głośno grubym sygnetem w krawędź talerza.

— Szanowni goście! — rzekł i niezwłocznie ucichły rozmowy. Goście zrozumieli potrzebę, jaką odczuwał w tej chwili właściciel hotelu „Pod Zamkiem", potrzebę wygłoszenia stosownego toastu. Lord Walter, rozmawiając w tej chwili z narzeczoną, również umilkł, zwracając oczy na przyszłego swego teścia. Nieznacznym ruchem ręki poprawił sobie krawat i pomacał kieszeń marynarki, w której spoczywało podanie rady Rykowic i pięć szeleszczących banknotów, które należało złożyć w kancelarji Ligi Narodów.

— Szanowni goście! — powiedział jeszcze raz gospodarz i znów urwał. Obecni jednak rozumieli dobrze przyczyny zdenerwowania, jakie odmalowało się teraz na twarzy pana Chmary. Niełatwą jest rzeczą przemawiać publicznie. Ale wzrok pana Florjana tak uparcie tkwił w drzwiach, że niektórzy spojrzeli wreszcie w tę stronę. To, co zobaczyli było zupełnie nieoczekiwane. W drzwiach stał komendant policji powiatowej wraz z panem Poskrobko.

— Czy jest tu niejaki Stanisław Nierzycki, zbiegły z więzienia oszust? — spytał policjant.

Słowa te padły jakby w próżnię. Grobowa cisza zaległa salę. Wszyscy uczestnicy biesiady odczuli głęboko nietakt komendanta, który w takiem gronie chciał szukać zbiegłego oszusta, a przybył niewiedzieć czemu w towarzystwie pisarza magistratu.

Na czole pana Florjana wystąpiła groźna zmarszczka. Był człowiekiem cierpliwym i skłonnym do tolerancji, ale to... to już wykraczało poza wszelkie granice przyzwoitości. Odpowiedział jednak aż nazbyt grzecznie:

— Panie komendancie! Bardzo będzie nam miło uważać pana tutaj za gościa, ale złoczyńców proszę poszukać sobie w innem miejscu, na rynku naprzykład lub w karczmie. — Powiedziawszy to gospodarz rzucił druzgoczące spojrzenie na pana Poskrobko, jakby pragnąc zaznaczyć, że jego bynajmniej nie zaprasza. — Żadnego Nierzyckiego tu niema — dodał.

— Ależ owszem! Jest! — odparł komendant, i ku zgrozie wszystkich obecnych kiwnął zuchwale palcem na lorda Waltera. — Chodźno tu bratku! — rzekł.

Spojrzenia gości skierowały się teraz ku postaci dostojnego wysłannika Ligi Narodów, a były pełne zdumienia i trwogi zarazem, bo oto lord Walter odsunął krzesełko i bez słowa protestu skierował się ku drzwiom. W chwilę potem zaś pan Poskrobko również w milczeniu rozłożył przed przerażonemi oczami właściciela hotelu policyjny list gończy, zaopatrzony podobizną, w której bez żadnego trudu nieszczęśliwy pan Florjan poznał teraz dostojnego narzeczonego swej córki.

K o n i e c.

JÓZEF JANKOWSKI



2)

Naraz, sygnalizowano nam, że nazajutrz o świcie pójdziemy do ataku. Byliśmy, oczywiście, wyspani i wypoczęci aż nadto. Gdy więc nadeszła noc, siedzieliśmy w oczekiwaniu świtu, wprost nudząc się i niecierpliwiąc (przynajmniej ja), żeby jak najprędzej wyjść z tego schronu.

Koło północy, ku wielkiemu memu zdziwieniu, zagadał do mnie pierwszy — Zagrób.

— Wiecie co kolego? Spać się wam nie chce. Uwarzcie więc czarnej kawy. Pogawędzimy trochę. Będzie to ostatnia moja z wami rozmowa. Zaczem odejdę już.

Spojrzałem na niego pytająco, dorzucając słowo oględne:

— Dokąd?

— Tam — odrzekł — dokąd wszyscy, wcześniej czy później, odejdą. Ja, na szczęście, już o tym świecie najbliższym...

Przyrządziłem, oczywiście, pełną maszynkę kawy, nalałem Zagrobowi i sobie — zapaliliśmy fajki, i Zagrób tak począł mówić:



... i Zagrób począł mówić: ...

— Nie nazywam się — uważacie — ani Jan, ani Zagrób, ani Kozłowski. — Co za ohyda! — Imię moje właściwe jest Klemens. Nazwisko — ale mniejsza o nazwisko; wykreślone ono już bezpotomnie z księgi żywych. Przydomek „Zagrób" sam sobie nadałem dla odróżnienia od nazwiska i imienia nie swego — co za ohyda! — które zmuszony byłem nosić, zaś to — w jakich okolicznościach, dowiecie się za chwilę.

Zatrzymał się, paląc, a potem tak ciągnął dalej:

— Przed kilku laty byłem w Warszawie znanym w sferach towarzyskich — no, powiedzmy, zawodowcem i pracownikiem — znanym zarówno ze swej działalności, jak i z posiadania najpiękniejszej na świecie — co za ohyda! — żony — kobiety, o jakiej marzył napewno całe życie Tycjan, ale jakiej nie zdołał nigdy namalować — kobiety, pochodzącej, jak sądzę, w prostej i najczystszej linji rodowej od matki rajskiej, Ewy: tyle w niej było kuszących uroków kobiecości, która zbliżającym się do niej i pragnącym ją posiąść zmysły na popiół spala i życie na opak wywraca.

Kochała mnie — co za ohyda! — (tu się zaciągnął sutym kłębem dymu, i głos jakgdyby zelżał mu na chwilę, gdy kończył zdanie) i ją kochałem. Trzymałem ją w mocnych ramionach na szczycie piramid i w dżungli afrykańskiej, gdy tygrys malowniczy obok nas przebiegał, i na pokładzie zalanym walącego się w otchłań okrętu, i w wyżynie niebieskiej, rozchwianej warkotem aeroplanu, i w namiotach dzikiego plemienia wysp polinezyjskich, gdzieśmy po ślubie przez całe dwa lata bieżeli społem, ręka w rękę, chłonąc oddechy wolnej, jak wszechświat, miłości! I byłbym poszedł za nią na skraj drogi mlecznej — co za ohyda!

Powróciliśmy do Warszawy, i zająłem się pracą.

Po pół roku począł bywać w domu naszym przyjaciel mój dawny, lekarz słynny, nazywając się Jan Kozłowski — co za ohyda!

Bywał często i stał się przyjacielem domu.

Po pewnym czasie spostrzegłem kilkakrotnie zamieniane i pochwycone przeze mnie niechcący spojrzenia przelotne, ukryte, pomiędzy doktorem i moją żoną.

Coś mnie tknęło, ale uważając to za pomyłkę mego sądu widzenia i za podszepty kuszącej mnie ślepej zazdrości, stłumiłem to rychle i nawet wyrzuciłem z pamięci. Zanadtom przecie ufał miłości mej żony i czci przyjaciela, by cień najlżejszy podejrzenia do głowy móc przypuścić! Co za ohyda!

W czerwcu, w rok po powrocie, zachorowałem na najgłupszą w świecie chorobę — na hiszpankę. Leczył mnie nasz przyjaciel. Był przecie słynnym lekarzem. Co za ohyda!

Po tygodniu choroby przyplątały się jakieś „komplikacje".

I wtedy właśnie ujrzałem przyjaciela i moją żonę, całujących się przy mem łóżku. Co za ohyda!

Po kilku jeszcze dniach leżałem już w agonji.

(d. c. n.)

KĄCIK ROZRYWKOWY

(Pod kierownictwem Klubu Szaradzistów)

OD KIEROWNICTWA „KĄCIKA"

W numerze niniejszym podajemy trzecią (ostatnią) serję zadań, wchodzących w skład D r u g i e g o K o n k u r s u K w a r t a l n e g o.

Warunki uczestniczenia w konkursie umieszczono w n-rze 10 „Ech Leśnych".

Termin nadsyłania rozwiązań oraz sprostowań i uzupełnień upływa dnia 1 lutego 1931 r. Listę osób rozwiązujących i nagrodzonych podamy w numerze marcowym 1931 r.

KOMUNIKAT KLUBU SZARADZISTÓW W WARSZAWIE

Klub Szaradzistów w porozumieniu z Redakcją „Ech Leśnych" oraz Redakcjami wielu pism ogłasza z dniem 1 stycznia 1931 r. W s z e c h p o l s k i K o n k u r s A u t o r s k i n a z a d a n i a w s z y s t k i c h r o d z a j ó w, jak: szarady, rebusy, krzyżówki, wirówki, arytmografy, zagadki, logogryfy, kryptogramy, eliminatki i t. p., — o t y t u ł m i s t r z a P o l s k i p o s z c z e g ó l n y c h z a d a ń n a 1931 r o k.

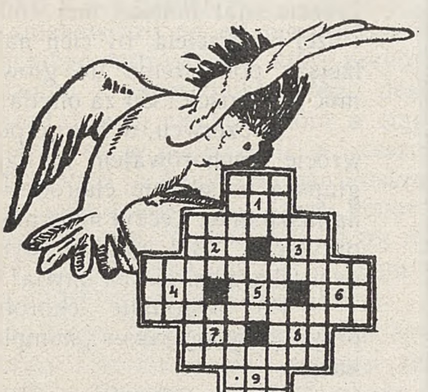
W konkursie poza dyplomami na tytuły mistrzów, poszczególne Redakcje przeznaczają wiele wartościowych nagród.

Autorzy, pragnący wziąć udział w tym konkursie, zechcą zwracać się po informacje począwszy od dnia 20 grudnia do Klubu Szaradzistów w Warszawie przy ulicy Miodowej Nr. 7 m. 2.

WIRÓWKA

Ułożył Kazimierz Denasiewicz

Za rozwiązanie 5 punktów



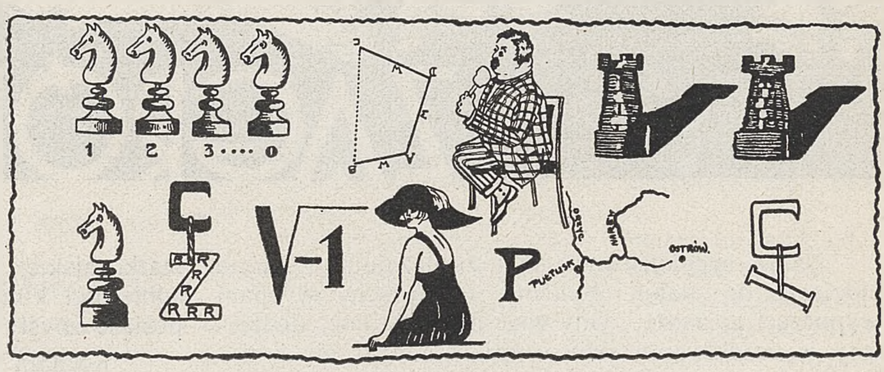
Wpisać 9 wyrazów ośmioliterowych dookoła cyfr. Kierunek strzałki zegara.

1) Klika, zgraja zauszników; 2) Praktykant; 3) Cukier w melasie; 4) Rota wojska u Rzymian; 5) Ubiór kobiecy bez rękawów; 6) Dawna rzadka moneta; 7) Skryć się, schować się; 8) Stragan, sklepik; 9) Naczynie metalowe do gotowania.

REBUS

Ułożył J. Stratilato

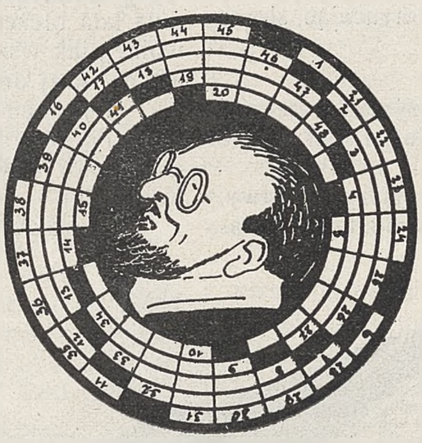
Za rozwiązanie 3 punkty



KRZYŻÓWKA

Ułożył Kazimierz Denasiewicz

Za rozwiązanie 4 punkty



Znaczenie wyrazów czytanych dookoła:

1) Słowianin; 2) Złuda; 3) Historyk rzymski; 4) Pochrzyn (roślina); 5) Objaw, znak; 6) Styl; 7) Ciało ustawodawcze; 8) Jednostka wagi pereł; 9) Pierwiastek; 10) Zwierzę domowe zdrobniale; 11) Pełzak; 12) Imię żeńskie; 13) Część głowy; 14) Żydowska partja polityczna wsp.; 15) Wóz mongolski; 16) Podziałka, miara; 17) Piękność; 18) Załącznik; 19) Zespół aktorski; 20 Banda, zgraja.

Znaczenie wyrazów czytanych do środka:

21) Jednostka oporu; 22) Pierwiastek; 23) Mieszkaniec Azji; 24) Moskal; 25) Zboże; 26) Przysłówek; 27) Zaimek; 28) Karta; 29) Przyrząd gimnastyczny; 30) Pora dnia wspak; 31) Klej; 32) Głowa rodziny; 33) Zaimek; 34) Spójnik; 35) Huta; 36) Pierwiastek; 37) Rodzaj gruszy; 38) Biegun dodatni; 39) Nuta; 40) Tytuł wschodni; 41) Przyimek łać; 42) Przyimek; 43) Papuga; 44) Służy do zapalania miny; 45) Biała skała wsp.; 46) Wyłom, przerwa wspak; 47) Odpoczywa; 48) Litera fonetycznie wspak.

Przy układaniu zadań posiłkowano się słownikami M. Arcta.

SZARADA - BAJECZKA

Ułożyła Stanisława Millerowa z Łęczna

Za rozwiązanie 3 punkty

Usłyszawszy p i e r w s z y - d r u g i
Stary zając w lesie,
Będąc pewny, że myśliwskiej
Głos trąbki się niesie,
Porwał się i c z w a r t e-p i e r w s z e
Dając przeogromne,
D r u g i e w pole, wprost przed siebie
Z trwogi nieprzytomny.
Natknął się nań młody szarak:
„Gdzie tak śpieszysz, bracie?
„T r z y-c z w a r t e g o masz dość chyba,
„Towar ten nie płaci!
„T r z e c i e-p i e r w s z e dzisiaj takie
„Że pożal się Boże!!
„Zastój w handlu i przemyśle
„Nawet u nas w borze.
„Nie usłyszysz ryku zwierza,
„Ni toporów stuku,
„Ni myśliwskiej trąbki grania,
„Ni wystrzałów huku..."
Na to stary: „Cóż to było,
„Wytłumacz mi, mały?"
— „Co? Ach, mogłeś spać spokojnie,
„To był tylko C a ł y!..."

ROZWIĄZANIA ZADAŃ PIERWSZEGO KONKURSU KWARTALNEGO

Oprócz zadań, umieszczonych w n-rze 6, których rozwiązania podaliśmy w n-rze 9, na konkurs złożyły się następujące zadania:

Nr. 7

„Szarada - ostrzeżenie"	3 p.
Rebus wirowy	5 p.
Krzyżówka - arytmograf	4 p.

Nr. 8

Zadanie do uzupełnienia	1 p.
Szarada	2 p.
Zagadka	1 p.
Łamigłówka	2 p.
Zadanie literackie	4 p.
Rebusik literowy	1 p.

Nr. 9

Krzyżówka	5 p.
Szarada	3 p.
Rebus wirowy	3 p.

WYJAŚNIENIA

Nr. 7

SZARADA OSTRZEŻENIE

„Zbrojenia Niemiec, to groźna dla nas przestroga".

REBUS WIROWY

„Lasy to naturalna ochrona człowieka".

KRZYŻÓWKA ARYTMOGRAF

„Głód, powietrze, ogień, woda
i wszelka zła przygoda,
będą temu, ktoby starą
ojców swoich wzgardził wiarą".

Nr. 8

ZADANIE DO UZUPEŁNIENIA

Laskowski — Klasyczny — Kałasan-.y — Podlasiak — Kopulasty — Kordełasy — Czarny — Las.

SZARADA

„Poeta lasów i zwierza".

ZAGADKA

„Pobóg".

ŁAMIGŁÓWKA

Kura — kurz — kult — kula. Kraj— kram — kret — krew. Kark — kara — kant — Kana. Kora — kort — kosa — kosz.

ZADANIE LITERACKIE

Banasiowa — Wit Stwosz — Bunt — Faraon — Grube ryby — Nata — Trefniś — Pan Damazy — O byt — Jaskółka — Słup — Argonauci — Róża — Anielka — Arab — Gody życia — Wiry — Bagienko — Literatka — Woły — Topiel — Beniowski — Eloe — Nego — Fragmenty — Za co? — Chłopi — Echa — Przysięga — Szał — Krewni — Glinkowie — Zwycięzca. — S t e f a n Ż e r o m s k i. „E c h a l e ś n e".

REBUSIK LITEROWY

„Powietrze".

Nr. 9

KRZYŻÓWKA

W y r a z y p o z i o m e: Teratologja — laber — elac — roba — Raba — los — dub — alfaw — synto — relsy — keratolit — sokolnictwo.

W y r a z y p i o n o w e: Melodykon — rabunek — Nabab — tron — ter — woal — tor — Aar — tną — lebl — roi — Kolafelce — galalit — ojcowstwo.

SZARADA

„Lato pracy pora".

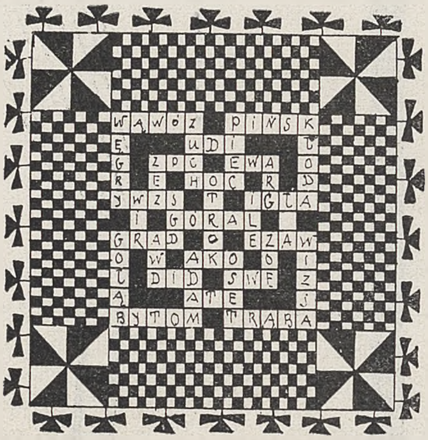
REBUS

„Na Michała łowcy chwała".

*

Rozwiązanie zadań z nr. 6, oprócz osób wymienionych w nr. 9-ym nadesłali p. p. S. Millerowa — Łęczno. T. Sławnicki — Białystok i K. Smarzewska — Rawa - Ruska.

WYRÓŻNIONE ROZWIĄZANIA



Rozwiązanie nadesłane przez panią d-rową J. Sroczyńską ze Złoczowa.

Rozwiązanie rebusa z nr. 6 nadesłane przez panią Stanisławą Millerową z Łęczna.

„Z k o b i e t a m i t r z e b a
t w a r d o[1])
N i e c a c k a ć s i ę j a k
z p u l a r d ą".

— Tak twierdzi pan Stratilato
A ot — i odpowiedź na to:

Pularda gdy twarda
Nic już nie poradzisz,
Kobietę dobrocią
W ogień zaprowadzisz!

Jeszcze jedno rozwiązanie zasługuje na uwiecznienie.
„Nam wyciąga nie mniej jedna chata
Niżeli biba, sport i chwała"??!!

Ma to być rozwiązanie rebusa z nr. 9 które brzmi: „Na Michała — łowcy chwała". I końby się uśmiał!

W szaradzie z nr. 7 otrzymaliśmy sporo rozwiązań, gdzie rozwiązujący podał zamiast wyrazu „groźna" inne określenie np. ciężka, straszna, — wszystkie te rozwiązania uznaliśmy za prawidłowe.

---

[1]) To twierdzenie Boya (Przyp. Red.).

Kilka osób „potknęło" się na zadaniu literackiem z n-rze 8 — w tym wypadku za dwa błędy odliczyliśmy jeden punkt.

PUNKTACJA

Rozwiązania zadań w n-rze 7 — 8 i 9 nadesłali P. P.:

B. Baczyński 4 — Romanów. K. Denasiewicz 34 — Drohobycz. J. Drzewiecki 3 — W-wa. L. Glaszmidt 34 W-wa. A. Górecki 5 — Garbatka. D. Herbstmanówna 34 — W-wa. E. Jarmulski 34. S. Jarmulski 34 — Modlin. A. Juchniewicz 3 — Święciany. „Jawnuta" 12 — Słonim. J. Kwiekowa 34 — Dobrzelin. S. Kamiński 34 — Sulejówek. S. Kacperski 7 — Krzyżówka. W. Kawecki 34— Modzerów. Cz. Kozłowski 34 — W-wa. Inż. A. Kucharski 5 — Białowieża. K. Laukanf 17 — Olszówka. M. Liwska 34 — W-wa. A. Ławruszonis 34. K. Ławruszonis 34 — W-wa. I. Łopacińska 17 — Wągleniwe. E. Majer 31 — Skuły. S. Michalski 12 — Łuniniec. S. Millerowa 34 — Łęczno. H. Mokrzycka 34 — Drohobycz. S. Płóciennik 34 — W-wa. A. Pudłowski 7 — Niemierza. M. Sławnicki 34 — Łuniniec. T. Sławnicki 34 — Białystok. K. Smarzewska 11 — Rawa-Ruska. D-wa J. Sroczyńska 20 — Złoczew. F. Wiśniewski 34 — W-wa. W. Wiśniewski 2. R. Żak 34 — W-wa.

Liczby przy nazwisku oznaczają ilość przyznanych punktów.

NAGRODY

Nagrody miesięczne w drodze losowania przypadły z nr. 7: P. Kazimierzowi Laukanf z Olszówki.

Z nr. 8: P. Inż. A. Kucharskiemu z Białowieży.

Z nr. 9: P. J. Łopacińskiej z Węglenia.

Nagrody konkursowe (kwartalne) otrzymują p. p. S. Jarmulski z Modlina.
Cz. Kozłowski z W-wy.
M. Liwska z W-wy.
A. Ławruszonis w W-wy.
H. Mokrzycka z Drohobycza.
T. Sławnicki z Białegostoku.

Nagrody w postaci książek zostaną wysłane pocztą.

Nagrodę za piękne rozwiązanie rebusa z nr. 6 — półroczną prenumeratę „Ech Leśnych" otrzymuje pani Stanisława Millerowa z Łęczna poczta Sulejów.

N a g r o d ę p o c i e s z e n i a otrzymuje „Jawnuta" ze Słonima — półroczną prenumeratę „Ech Leśnych".

ODPOWIEDZI KIEROWNICTWA „KĄCIKA"

P. M. K a t e l b a c h o w a w W i l n i e. Owszem można.

TREŚĆ

OBWIESZCZENIE

Do rejestru Spółdzielni R. S. — IV.669 Sądu Okręgowego w Warszawie w dniu 9 lipca 1928 r. wciągnięto następujące zgłoszenie":

„Spółdzielnia Leśników w Warszawie, Spółdzielnia z ogr. odp.".

Na posiedzeniu Rady Nadzorczej w dniu 30 kwietnia 1927 r. na miejsce ustępującego Stefana Różyńskiego powołany został Józef Kwiatkowski, Hoża 68 z Warszawy; na miejsce ustępujących zastępców: Nagabczyńskiego, Barańskiego i Tomaki powołani zostali: Stefan Szadkowski, Stefan Łasiewicki i Franciszek Biela, (wszyscy trzej nieobecni).

Warszawa, dn. 9 lipca, 1928 r.

OBWIESZCZENIE

Do rejestru Spółdzielni R. S. IV-669 Sądu Okręgowego w Warszawie dnia 4 grudnia 1926 r. wciągnięto następujące dodatkowe zgłoszenie:

„Spółdzielnia Leśników w Warszawie, Spółdzielnia z ogr. odp.".

Siedziba Spółdzielni mieści się obecnie przy ul. Nowy Świat 36, m. 4.— Na posiedzeniu Rady Nadzorczej z dn. 30 czerwca 1926 r. z Zarządu wystąpił Władysław Jedliński, na jego miejsce powołany został Józef Miłobędzki ze wsi Anin pow. Warszawskiego.

Warszawa, dn. 14 lutego, 1927 r.

OBWIESZCZENIE

Do rejestru Spółdzielni R.S. — IV.669 Sądu Okręgowego w Warszawie w dniu 26 sierpnia 1925 r. wpisano:

„Spółdzielnia Leśników w Warszawie, Spółdzielnia z ogr. odp.".

Siedziba Spółdzielni w Warszawie, ul. Foksal 14.

Członkowie odpowiadają za zobowiązania Spółdzielni zadeklarowanemi udziałami i prócz tego dalszą kwotą, równającą się dwukrotnej wysokości każdego zadeklarowanego udziału.

Przedmiot przedsiębiorstwa stanowi:

Przyjmowanie do wykonania wszelkich prac z leśnictwem związek mających i poruczanie wykonania tychże członkom Spółdzielni, wykonywanie na zasadach spółdzielczych prawidłowych eksploatacji drzewostanów i innych płodów leśnych, wykonywanie zalesień oraz przyjmowanie i organizowanie Zarządów Lasów.

Wysokość udziału 25 złotych, płatnych jednorazowo przy przystąpieniu do Spółdzielni.

Do Zarządu wybrani zostali: Gustaw Chmielewski, Lwów, Łyczakowska 27, Władysław Jedliński, Warszawa, ul. Koszykowa 70, Stefan Różyński, Sokułe, pow. Żyrardowskiego.

Zastępcy: Marjan Nagabczyński, Dziwie, pow. Włocławskiego, Władysław Barański, Warszawa, Żabia 5, Jan Tomaka w Siedlcach.

Pisma przeznaczone do ogłoszeń: „Las Polski" i „Echa Leśne".

Zarząd składa się z trzech członków.

Oświadczenia woli w imieniu Spółdzielni składają i za Spółdzielnię podpisują dwaj członkowie Zarządu łącznie.

W skład Zarządu wchodzi trzech zastępców.

Warszawa, d. 27 sierpnia 1925 r.

Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI

Wydawca: ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

WARUNKI PRENUMERATY „ECH LEŚNYCH"

od 1 kwietnia 1930 r.

	Zwyczajnej zł. gr.	Ulgowej (dla czł. Zw. Leśników) zł. gr.
Kwartalnie	4.—	3.—
Półrocznie	7.50	5.50
Rocznie	14.—	10 50
Zagranicą kwartalnie .	6.50	5.50

cena numeru pojedyńczego **1 zł. 40 gr.**

Konto czekowe P. K. O. **№ 737.**

Abonentów, którzy przed dniem 1 kwietnia r. b. uiścili już przedpłatę zgóry, podwyżka za opłacony okres nie obowiązuje. (Zobacz Nr. 3 „Ech Leśnych" str. 40.)

Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł 40 gr.

Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch".

ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 36 TEL. 230-75.

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, Sienna Nr. 15.